

Ewa Winnicka
BYŁ SOBIE CHŁOPCZYK



W serii ukazały się ostatnio:

Adam Hochschild *Lustro o północy. Śladami Wielkiego Treku*
Kate Brown *Plutopia. Atomowe miasta i nieznanne katastrofy nuklearne*
Drauzio Varella *Klawisze*
Piotr Lipiński *Cyrankiewicz. Wieczny premier*
Mariusz Szczygieł *Gottland* (wyd. 3 zmienione)
Maciej Czarnecki *Dzieci Norwegii. O państwie (nad)opiekuńczym*
Zbigniew Parafianowicz, Michał Potocki *Kryształowy fortepian. Zdrady i zwycięstwa Petra Poroszenki*
Paweł Smoleński *Wieje szarkijja. Beduini z pustyni Negew*
Albert Jawłowski *Milczący lama. Buriacja na pograniczu światów*
Lidia Pańków *Bloki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego* (wyd. 2)
Mariusz Szczygieł *Niedziela, która zdarzyła się w środę* (wyd. 3)
Aneta Prymaka-Oniszk *Bieżnięstwo 1915. Zapomniani uchodźcy* (wyd. 2)
Wojciech Górecki *Toast za przodków* (wyd. 2)
Jonathan Schell *Prawdziwa wojna. Wietnam w ogniu*
Wojciech Górecki *Planeta Kaukaz* (wyd. 3)
Janine di Giovanni *Tamtego ranka, kiedy po nas przyszli. Depesze z Syrii*
Wolfgang Bauer *Porwane. Boko Haram i terror w sercu Afryki*
Wojciech Górecki *Abchazja* (wyd. 2)
Bartek Sabela *Afronauci. Z Zambii na Księżyc*
Anna Pamuła *Polacos. Chajka płynie do Kostaryki*
Paweł Smoleński *Pochówek dla rezuna* (wyd. 3)
Cezary Łazarewicz *Tu mówi Polska. Reportaże z Pomorza*
Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen* (wyd. 2)
Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania* (wyd. 4)
William Dalrymple *Dziewięć żywotów. Na tropie świętości we współczesnych Indiach* (wyd. 2)
Barbara Demick *Świata nie mamy czego zazdrościć. Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej*
(wyd. 2)
Jacek Hugo-Bader *Dzienniki kołymskie* (wyd. 2)
Ben Rawlence *Miasto cierni. Największy obóz dla uchodźców*
Dariusz Rosiak *Biało-czerwony. Tajemnica Sat-Okha*
Jean Hatzfeld *Więzy krwi*
Aleksandra Boćkowska *Księżyc z Peweksu. O luksusie w PRL*
Barbara Seidler *Pamiętajcie, że byłem przeciw. Reportaże sądowe*

W serii ukaze się m.in.:

Marcin Kącki *Poznań. Miasto grzechu*
Paweł Smoleński *Syrop z piołunu. Wągnani w akcji „Wisła”*
Piotr Lipiński *Bierut. Kiedy partia była bogiem*

Ewa Winnicka

Był sobie chłopczyk

Z fotografiami Magdaleny Wdowicz-Wierzbowskiej



Wołowiec 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Fotografie na okładce i wewnątrz tomu © by Magdalena
Wdowicz-Wierzbowska

Copyright © by Ewa Winnicka, 2017

Redakcja Wojciech Górnaś / redaktoria.pl

Korekta Anna Brynkus-Weber / d2d.pl, Ewa Polańska / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Ewa Czernatowicz / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-603-3

Spis treści

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Część I

Część II

Część III

Na koniec

Podziękowania

Kolofon

2010

Cieszyn

Czwartek, 18 marca

Gułdowy to półwiejski przedbieg miasta. Janek ma piętnaście lat, Paweł czternaście. Popołudniami krążą po Mlecznej, Wiślańskiej, Braci Miłosiernych. Czasem, zamiast odrabiać lekcje, zbierają złom i taczkami zawożą do skupu. Dziś za trzydzieści puszek i dwa metry drutu dostali dziesięć złotych. Wracają wzdłuż stawów rybnych przy Wiślańskiej. Siadają na brzegu na betonowych płytach. Paweł, który ma wadę wzroku, widzi w wodzie kolorową plamę.

- Szmata tam pływa.
- Czerwona – mówi Janek.

Zapada zmierzch, więc się czerwoną szmatą nie zajmują. Idą do Janka, który mieszka przy stawach. Dołączają jeszcze dwaj gimnazjaliści – Jacek i Arek.

- Nic raczej już nie robimy – wspomni potem ten wieczór Janek.

Piątek, 19 marca

Wracając ze szkoły, wstępują do Janka, ale jemu nie chce się wychodzić z domu. Idą więc sami wzdłuż stawu do skupu złomu sprzedać stalowe pręty.

Między szosą a stawem rosną krzaki; wcześniej tego dnia robotnicy założyli też niską siatkę, żeby auta nie ślizgały się na żabach, które wiosną przełazą przez drogę.

Za dnia czerwona szmata wygląda jak większa lalka. Jest wielkości dwuletniego brata Pawła. Leży na wysepce błota twarzą do nieba.

- Dziwna – mówi Paweł, podchodząc do brzegu z długim patykiem, którym dźga ją w miękki policzek. I zamiast do skupu biegnie do matki.

Część I

Kryptonim „Jasiu”

2010

Cieszyn

Piątek, 19 marca, 15.30

Po drugiej stronie słuchawki zdenerwowana kobieta mówi o dziwnej wielkiej lalce leżącej w błotnistym stawie rybnym między Ustroniem a Cieszynem, przy wjeździe do miasta.

– Gumowa lalka, a może dziecko? – Nie potrafi się zdecydować.

W Komendzie Powiatowej Policji przy ulicy Wojska Polskiego 2 w Cieszynie już czekali na weekend. Wygląda jednak na to, że się na razie nie zacznie.

15.45

Hutyra dzwoni po strażaków, którzy wyciągną z płytkiego stawu tę dziwną – mają nadzieję – lalkę.

Strażacy dojeżdżają na Wiślaną dwoma wozami na sygnale. Na miejscu są już dwa radiowozy – aspirant Jacek Hutyra, dyżurny technik kryminalistyczny Mariusz Hanzel, a także liczni obserwatorzy z Mlecznej i Braci Miłosiernych: Janek, Jacek, Paweł oraz ich rodziny.

Jeden ze strażaków wkłada wodery, bo zgłoszony obiekt leży ponad dwa metry od brzegu. Strażak powoli pełźnie w błocie.

– Teraz lalki są dziwne – pociesza się Jacek Hutyra, który od 1991 roku zajmuje się włamaniami, kradzieżami, oszustwami przy podpisywaniu umów. I ostatnio wyłudzeniami „na wnuczka”. Tropi też przemytnicze mrówki na granicy z Czeskim Cieszynem.

W pracy bywają sytuacje zabawne, tak jak niedawno, kiedy początkujący dilerzy włożyli cały zapas przemyconej z Czech marihuany do klimatyzacji w swoim aucie i wpadli podczas przypadkowej kontroli, bo smród w samochodzie był nie do zniesienia.

Na terenie podlegającym komendzie powiatowej obywatele raczej zapijają się na śmierć, kłóćą z użyciem narzędzi rolniczych, rzadziej popełniają samobójstwa. Obszarem szczególnej policyjnej troski jest Trójwieś Beskidzka: Istebna, Koniaków, Jaworzynka. Zdaniem policjantów winowajcą jest halny – gdy wieje, działa jak katalizator, rozjątrzając zadawnione problemy sąsiedzkie, pogłębiając depresje i nałogi. Weźmy zdarzenia z ostatnich lat: brat bratu serce wyjął po ostrej rozmowie, jeden z mieszkańców strzelił do drugiego z głuszaka do zabijania świń, jeszcze ktoś inny nabił się na kłamkę i samodzielnie wyjął sobie wnętrzności.

Na szczęście problem dotyczy miejscowości górskich. Im bliżej doliny, tym pomysłowość mniejsza.

Kiedy Mariusz Hanzel z Ustronia zaczynał pracę w policji, miał dziewiętnaście lat i nie bardzo wiedział, jakie są wydziały. Szybko się dowiedział. W kryminalnym za dużo pisaniny, w prewencji nuda i łażenie od domu do domu. Technik kryminalistyczny natomiast pracuje dużo na świeżym powietrzu i nie narzeka na monotonię. Włamania, zbieranie odcisków palców, robienie zdjęć podejrzanym, dokumentacja zabezpieczonego mienia. Niestety czasem trafia się trup. Hanzel wie, że nie można mieć w tej pracy wszystkiego. Z tym że zwłoki często są dojrzałe i zazwyczaj nietrzeźwe.

16.00

Strażak, który dotarł do czerwonej szmatki, podnosi głowę, krzyczy, że to dziecko, i zapada się w błocie po kolana. Ci z brzegu łapią się za ręce, wyciągają strażaka, a potem na brezentowej płachcie ciało. To chłopczyk.

16.05

Jacek Hutyra nigdy nie opowiada żonie, jak policjanci radzą sobie z napięciem i ze stresem w pracy. Zwykle – tak jak chirurdzy – czarnym humorem. Teraz na brzegu zalega cisza.

„Utopił się komuś – myśli na razie Hutyra. – Wybiegł z domu i się utopił”. Tylko dlaczego jeszcze nie ma zapłakanych rodziców? Może leżą na dnie? Albo w drugim stawie?

Hutyra rozwiesza wzdłuż brzegu żółtą taśmę i podchodzi do człowieka z aparatem fotograficznym. To dziennikarz „Głosu Ziemi Cieszyńskiej”. Już się dowiedział. Policjant prosi, by nie robić zdjęć dziecięcym zwłokom. Dziennikarz odchodzi, ale tylko na drugą stronę stawu. W najbliższym numerze lokalnego tygodnika pokaże dokładnie na zdjęciu ciało dziecka leżące na brezencie, a nawet się podpisze: Krzysztof Marciniuk.

Nad staw dojeżdża karetka, są też zastępca komendanta policji i prokurator z Cieszyna. Rozdzwaniają się telefony w redakcjach telewizji informacyjnych. Pierwsze wozy transmisyjne ruszają do Cieszyna z Katowic. Zostaną na najbliższe dwa tygodnie.

16.30

Kiedy ciche prośby o to, żeby strażacy wyciągnęli lalkę, nie zostają wysłuchane, Hanzel podchodzi do chłopczyka ułożonego na brezencie.

Jasne oczy zwrócone ku górze, usta otwarte jakby w krzyku i poranione, twarz posiniała.

„Ładny chłopczyk” – to pierwsza myśl Hanzla. Inne odgania. Zwłaszcza tę, co by zrobił, gdyby w tej chwili patrzył na własnego syna. Ale w tej pracy chwili największego smutku pojawiają się, gdy obok płacze rodzina. Tu nie ma nikogo. Hanzel rozbiera chłopca. Drży mu ręka. To są pierwsze tak małe zwłoki w jego dwudziestoletniej karierze zawodowej.

Pod spodniami rajstopy i zamiast majtek pampers numer pięć. Taki sam nosi jego dwuletni syn.

Hanzel dyktuje Hutyrze:

– Długość ciała sto centymetrów, włosy jasne, ostrzyżone, spodnie zdecydowanie za duże, zwisają ze szczupłych nóg denata. Buty brązowe, sznurowane, rozmiar dwadzieścia dwa. Na twarzy podbiegnięcia krwawe, na lewej nodze zaczerwienienia...

Hutyra wpisuje możliwy wiek dziecka: cztery lata, a lekarz pogotowia potwierdza. Hanzel mógłby zaprotestować, ale spece od sekcji zwłok doprecyzują wiek małego. Ani Jacek Hutyra, ani lekarz pogotowia nie mają dzieci.

16.40

Pod urwiskiem policjanci znajdują jeszcze: rękawiczkę, butelkę po wódce wyborowej (pięć metrów od brzegu), folię w kolorze żółtym. W odległości około czterdziestu metrów w kierunku Ustronia szary koc, paragon fiskalny z parafii ewangelickiej.

Pobierają: próbkę zapachową, próbkę ziemi z podłoża.

16.45

Na miejsce przyjeżdża rudy wilczur Bakcyl, pies tropiący. Nawęsza, podejmuje ślad, idzie w kierunku Bażanowic. Po czterdziestu metrach wraca z niczym.

Robotnicy, którzy jeszcze dwie godziny temu zakładali na ulicy siatki ochronne dla żab, nie zauważyli ani dziecka, ani dorosłych.

Policjanci rozchodzą się po domach. Wypytują sąsiadów, którzy przysięgają, że chłopiec niemiejskowy. Wiedzieliby przecież. Wyłuskują wspomnienia z ostatnich dni. W okolicy nic się zazwyczaj nie dzieje, więc wszystko pamiętają. W czwartek, gdy leciała *Bonanza*, podjechał powoli golf. Kierowca był na czarno. Zwolnił, kiedy przejeżdżał blisko stawu. Nikt nie zapamiętał rejestracji.

Było jeszcze czerwone auto. W środku kobieta i mężczyzna. Zatrzymali się przy stawie, mężczyzna wyszedł z dużym żółtym plastikowym workiem. „Kurwa, śmieci wyrzucają” – pomyślał świadek z Mlecznej. Do tego Litwini. Sąsiad poznał po rejestracji.

Nad chłopcem jeszcze raz pochyła się lekarz pogotowia i dyktuje:

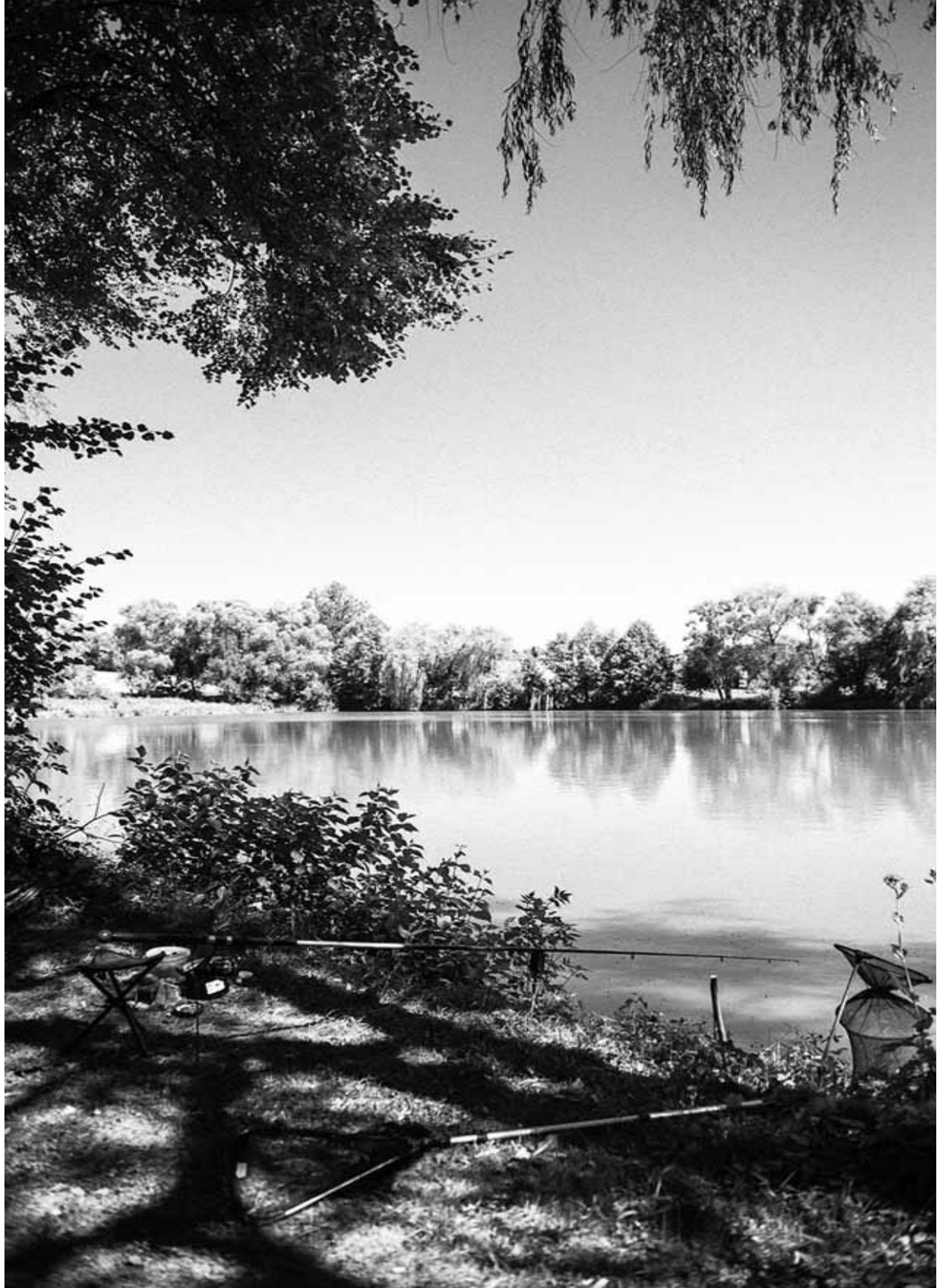
– Zgon nagły, przyczyna nieznana.

Teraz Hanzel może ubrać chłopczyka.

Na Wiślańską podjeżdża czarny samochód z zakładu pogrzebowego Kalia, dwóch mężczyzn w milczeniu ładuje zwłoki i zabiera do Zakładu Medycyny Sądowej w Katowicach. Patolodzy otworzą je, zabezpieczą krew, mocz i DNA. Sprawdzą, czy otarcia skóry pojawiły się przed śmiercią, czy już po niej.

Z doświadczenia Jacka Hutyry oraz zastępcy komendanta powiatowego Jacka Bąka wynika, że zaraz wpłynie zawiadomienie o tym, że ktoś szuka chłopca. Zwykle zgłaszają się do pół godziny po takim zdarzeniu.

Porwanie, uprowadzenie, matka się zagapiła, nieszczęśliwy wypadek. Trzeba się przygotować na rozmowę z rodziną. Te rozmowy są najtrudniejsze.



Sobota, 20 marca, świt

Policjanci kolejny raz sprawdzają bazę danych. Nikt w powiecie ani w województwie nie zgłosił porwania dziecka. Ani w Polsce, ani w Czechach, ani w Słowacji.

Potem okaże się, że w Europie.

W historii województwa śląskiego to pierwsze martwe małe dziecko, którego nikt nie szuka.

Rysopis: wiek z wyglądu dwa–pięć lat, wzrost około stu centymetrów, szczupła budowa ciała, twarz pociągła, czoło wysokie, usta średniej wielkości, cera blada, włosy krótkie, proste, blond, uszy duże, przylegające, nos mały, oczy niebieskie, uzębienie pełne.

Ubrany w kurtkę ortalionową ocieploną czerwonym polarem ze ściągaczami, zapinaną na zamek błyskawiczny. Na piersi dwie kieszenie zapinane na zatrzaski metalowe. Pod kieszenią naszywka z napisem „MINI MONI”.

Szara bluzeczka polo w poprzeczne paski białe i czerwone, zapinana na guziki metalowe z wytłoczonym napisem „COOL CLUB”.

Czerwono-granatowa bluza zapinana na zamek błyskawiczny. Po prawej stronie wzdłuż zamka napisy ciemnego koloru: „DEEPER INTER TRIBE OLD INDIAN LEGENDS”.

Spodnie bojówki z bocznymi kieszeniami zapinanymi na guziki.

Buty typu traper, skóropodobne, koloru brązowego, rozmiar dwadzieścia dwa, na podeszwie wytłoczony napis „KIDS”.

Rajstopy frotowe niebieskie.

Czapka z włóczki biało-niebieska z czerwonymi aplikacjami.

Rękawiczka z włóczki niebiesko-czerwono-biała.

Portal śląska cieszyńskiego OX.pl, a potem wszystkie inne publikują rysopis z jednym pytaniem: „Jak masz na imię?”. Rzecznik policji powtarza mantrę:

– Sprawdzamy możliwe bazy danych. Żadnych efektów.

Poszukiwani są Litwini, jacykolwiek, w hotelach Halny, Gambit, w Gościńcu pod Kurantem, u Trzech Braci (fundacja Dworek Cieszyński

odpada ze względu na remont). Nie ma.

Specjaliści z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach rysują twarz chłopca, tak jak mogła wyglądać, gdy dziecko było jeszcze żywe. Bez sińców i plam opadowych.

Niedziela, 21 marca

Hutyra nie pamięta takiej mobilizacji.

Grupa kryminalna weryfikuje każdy drobiazg znaleziony przy dziecku: folię, butelkę, ubrania, buty. Być może te przedmioty „przemówią”. Dochodzeniowcy drukują zdjęcia ubrań i jadą do Sarniego Stoku w Bielsku-Białej. To najbliższe duże centrum handlowe, więc tam zaczną poszukiwania.

Najpierw sklep 5.10.15. Sprzedawczyni ogląda fotografię. Spodnie pochodzą z kolekcji jesień–zima 2008 / 2009. Już się ich nie sprzedaje.

Potem Smyk. Szara bluzka w paski jest jeszcze starsza, nosiło się ją w latach 2007 i 2008. Zostają buty, pampers i kurtka.

Wieczór

Żona Mariusza Hanzla pyta, co tam w pracy. Hanzel nie odpowiada. Sięga po pilot i puszcza kabaret. Zawsze tak robi, gdy siedzą z dziećmi przy stole w kuchni.

– Jak się nazywasz, Jasiu? – pyta po raz pierwszy Jacek Hutyra, patrząc w sufit.

Na forach internetowych, w tym na portalu Śląska Cieszyńskiego, obywatele komentują odkrycie w stawie.

W którym dokładnie stawie leżał, bo na Gułdowach są trzy?

Właśnie we *Faktach* TVN mówili o tej tragedii – pierdolili przez 10 minut o debacie Komorowski–Sikorski, a o znalezieniu chłopca może 30 sekund.

Śpij w spokoju, Aniołku [*].

Poniedziałek, 22 marca

Kiedy Hutyra podjeżdża pod komendę, wozy transmisyjne blokują wąską ulicę.

– Czekają nas żmudna praca operacyjna – zwierza się reporterom zastępca komendanta Jacek Bąk. – Prosimy o cierpliwość.

Chwilę potem decyduje, że powstanie grupa specjalna, która zajmie się sprawą o kryptonimie „Jasiu”, bo tak nazwali chłopca. Nie mogli tego ludzkiego dziecka nazwać zwłokami N. N. Sekcje operacyjna, przygotowawcza, procesowa będą pracować na bezpośrednich łączach z prokuraturą rejonową.

Jacek Hutyra rzuca śledzenie oszustów i włamywaczy, przejmuje „Jasia”.

Sprawdzą monitoringi ze stacji benzynowych, znad dwupasmówki Katowice–Wisła, znad bankomatów w Ustroniu, Cieszynie, Goleszowie. Po tym, jak telewizje poinformowały o zdarzeniu, do komendy dzwonią obywatele, którzy są pewni, że widzieli chłopca. Sprawdzają każde zgłoszenie. Są to fałszywe donosy, dopóki nie dzwoni chłopak ze straży miejskiej, który podejrzewa, że „Jasio” jest Marcuzkiem z Cieszyna.

Widział go miesiąc wcześniej.

„Podczas wieczornego patrolu dostaliśmy polecenie, żeby pomóc policji, która zatrzymała cztery pijane osoby. Dwie pary zataczały się na rynku, a w pobliżu czekał trzyletni chłopiec i dziewięciomiesięczna dziewczynka w wózku. Dzieci w miarę czyste, choć przecież z libacji. Chłopiec się bał, ale powiedział, że nazywa się Marcuzek. Dziewczynka nic nie mówiła. Od jednej z kobiet udało mi się wydobyć telefon i zadzwonić do jej domu. Odebrała mówiąca po czesku babcia. Po chłopca w komendzie zgłosiła się wtedy druga babcia wraz z dziadkiem. Numer telefonu przekazała bełkocząca matka, kiedy spisywałem dane. Teraz widzę, że ten Marcuzek miał buty podobne do nieżywego chłopczyka. Był blondynem”.

Hutyra wzywa patrol, by pojechał do centrum miasta, gdzie według dowodu osobistego, z którego strażnik spisał adres pijanej matki, mieszkało dziecko.

Przez pół godziny komenda wstrzymuje oddech. Potem oddzwania policjantka i melduje, że otworzyła trzeźwa matka z chłopczykiem w piżamie. Potwierdziła, że 16 kwietnia była pijana i spędziła noc w komendzie. Marcuzek, na życzenie policjantki, powiedział „dzień dobry” zza nóg mamy.

Wtorek, 23 marca

Są wyniki sekcji. Małgorzata Borkowska, zastępczyni prokuratora okręgowego w Bielsku-Białej, zwołuje konferencję prasową.

– Nie utonął. Został zamordowany, leżał w błocie kilka dni – mówi.

Doznał urazu jamy brzusznej. Pękło jelito cienkie, a wskutek tego wdało się zapalenie otrzewnej.

– Dziecko umarło po kilku dniach, najprawdopodobniej w męczarniach.

Otarcia naskórka na czole i kolanie powstały podczas transportu, kiedy chłopiec już nie żył. Dokładne przyczyny urazu będą znane, gdy przeprowadzi się badania histopatologiczne i toksykologiczne. Radiolog ustali dokładny wiek dziecka. I jeszcze uściślenie: chłopczyk mierzył tylko 88 centymetrów, ważył 11 kilogramów.

– Nie mógł mieć czterech lat, najwyżej dwa – komentuje jedna z dziennikarek. – Jak będziecie mówić bzdury, nigdy nie dojdzie się do prawdy.

Prokuratura rejonowa wszczyna śledztwo w sprawie zabójstwa, a internet już wskazał i osądził winną tragedii:

Matka to potwór... Mogła oddać dziecko, a nie zabierać mu wszystko, całe życie.

Sam bym wziął tego chłopca do domu. Zajął bym się nim lepiej niż niejedna matka. Chociaż mam 16 lat. A każde dzieci są dla mnie kimś ważnym.

Ty pojebana, wy pojebani ludzie, którzy mu to zrobiliście. Wszystko bym dał, by się temu Aniołkowi to nie stało.

Wieczorem odzywa się komórka w kieszeni komendanta Bąka. Dzwonią z Katowic. W tak medialnej sprawie nadzór nad śledztwem oferuje komenda wojewódzka. To propozycja nie do odrzucenia. Rozkaz, ale i nobilitacja.

Środa, 24 marca, 8.00

Do policjantów w Cieszynie dołącza pięćdziesięcioletni Jacek Marczewski. Reprezentuje komendę wojewódzką.

– Co mamy?

– Prawie nic.

– Nie wiadomo, jak długo Jasio leżał w stawie. Były przymrozki, więc się nie rozłożył. Nie ma w nim larw, nie ma owadów. Gdyby leżał w lesie, byłoby

łatwiej.

– Jak się tam znalazł?

Sprawa jest złożona, ponieważ Cieszyn to miasto przygraniczne.

– Czy był dzieckiem prostytutki? Jeśli tak, musiała być raczej Słowianką. Chyba że Szwedką.

– Jak to sprawdzić?

Na przejściach granicznych z Ukrainą wciąż jest kontrola paszportowa, ale z Czechami i Słowacją będzie problem.

– Można wozić dziecko w bagażniku tam i z powrotem – mówi policjant.

– Zamówimy nagrania kamer z przejścia granicznego.

– To miesięcznie osiemdziesiąt tysięcy osób!

– Weźmiemy te, na których są dzieci.

– Jeśli od razu, cudem, nie zobaczysz tego Jasia, to odpuść. Już to sprawdzaliśmy. Mieliśmy plik w Excelu, datę i godzinę wyjazdu, a potem powrotu dziecka z rodziną. Tylko że potem dziecko wracało jeszcze cztery razy, chociaż wyjeżdżało tylko raz. Tu jest handel, limit fajek i alkoholu na głowę. Także na głowę dziecka. Ludzie wożą dzieci, żeby przewieźć więcej towaru.

– Jeśli nic dobrego się nie zdarzy, będziemy eliminować z bazy PESEL. Sprawdzimy, czy dzieciaki siedzą po domach.

Tylko na Śląsku będzie to czterdzieści tysięcy dzieci.

Wieczór

Kiedy Jacek Marczewski wraca do Katowic, zaalarmowany przez Hutyre ośrodek dla uchodźców w Traiskirchen w Austrii przysyła informację, że obowiązkowo fotografowane są tylko dzieci powyżej czwartego roku życia, ponieważ wtedy otrzymują dokumenty. Młodsze – tylko fakultatywnie. Tego dnia Hutyra po raz pierwszy zdaje sobie sprawę, że dwulatek w Polsce nie jest bytem oczywistym.



Czwartek, 25 marca

Na biurku komendanta leży list od radiolożki z Krakowa z informacją, że ich chłopiec miał więcej niż 9, ale mniej niż 12 miesięcy.

Sekcja zwłok wykazała, że wiek kostny to 12–18 miesięcy, a po rozwoju zatok obocznych można szacować wiek dziecka na mniej więcej rok.

Komendant wzywa policjantów, żeby się zastanowić.

– No to, kurwa, w końcu ile?

„Niemożliwe, że rok” – myśli Jarosław, jeden z cieszyńskich śledczych, którego dwuletnie dziecko jest niewiele większe od Jasia. Specjalnie mierzył je w domu. Ale nie mówi głośno, bo tutaj to wyższy stopniem decyduje, ile denat miał lat.

„Jak długo żyłeś, Jasiu?” – pyta sam siebie Jacek Hutyra i prosi o powtórzenie badań. Zaraz znów rzucą się dziennikarze, których przez pięć ostatnich dni informowali najpierw o czterolatku, potem o dwulatku.

Jacek Marczewski i Jacek Hutyra decydują, że nowy portret pamięciowy oraz opis ubrań Jasia mają zawisnąć w każdym komisariacie, szpitalu, urzędzie i ośrodku pomocy społecznej w Polsce. Jeszcze tego samego wieczora policjanci w Cieszynie rozlepiają plakaty na korytarzach.

Ktoś go przecież musi rozpoznać.

Komendant Bąk dostaje wiadomość, że śledztwo przejmie prokuratura okręgowa, a dokładniej Arkadiusz Józwiak z Bielska-Białej. Komendant zna prokuratora ze słyszenia. Kiedy pracował w rejonie, nabył doświadczenia w zakresie wyjaśniania zabójstw rodzinnych. W okręgowce zajmuje się przestępcami gospodarczymi.

Arkadiusz Józwiak rozumie, że trzeba będzie badać szeroko, intuicyjnie i raczej na ślepo.

Najpierw jedzie do kostnicy, żeby obejrzeć przedmiot sprawy. Niestety, chłopiec „nie mówi”. Nie był operowany. Jest zbyt młody, by do badania przydały się jego włosy. Gdyby był starszy, zdążyłyby się w nich odłożyć substancje właściwe dla miejsca zamieszkania. Włos gdańszczanina różni się

od włosa warszawiaka. Zęby mleczne nie były leczone przez dentystę. Rączki zbyt niedojrzałe, żeby dokładnie ocenić wiek, radiolog mógł się pomylić...

Józwiak zostawia chłopczyka i kiedy zdąży ochłonać, spotyka się z policjantami w Cieszynie. Hutyra widzi, że Józwiakowi zależy na „Jasiu”. W każdym razie prokurator nie wstydzi się emocji.

Piątek, 26 marca

Z biura ewidencji ludności śledczy ściągają listę mieszkańców województwa śląskiego razem z numerami PESEL. Oddzielają obywateli między pierwszym a czwartym rokiem życia płci męskiej, razem z miejscem zamieszkania.

Jest ich jednak ponad 47 tysięcy. W powiecie cieszyńskim prawie sześciuset.

Do wszystkich tych obywateli muszą dotrzeć dzielnicowi, żeby sprawdzić, czy są żywi. Następnie umieścić wynik w odpowiedniej kratce Excela: na zielono sprawdzeni obecni, niesprawdzeni na czarno. Jeśli dzielnicowy ma wątpliwości, powinien je pilnie zgłaszać przełożonemu. Komenda Powiatowa Policji w Cieszynie nadzoruje dzielnicowych z powiatów na południe od Katowic, a komenda wojewódzka – resztę.

– Na razie czeszymy swoje podwórko, potem męczymy chłopaków ze Szczecina – mówi Marczewski. Ma nadzieję, że do tego nie dojdzie. Zauważa, że w całej Polsce żyje pół miliona chłopczyków mniej więcej w wieku Jasia. Sprawdzenie wszystkich jest nierealne, pozostaje liczyć na cud.

Nawet najstarsi policjanci w komendzie powiatowej nie pamiętają tak szeroko zakrojonej akcji.

16.00

Cud, na który liczyli śledczy, być może zdarza się w piątek po południu, kiedy dyżurny cieszyński odbiera telefon z Warszawy. Po drugiej stronie starszy mężczyzna pyta, czy może opowiedzieć swoją historię.

Dyżurny notuje:

Mieszkam w bloku, jestem wdowiec. Przez dwa lata, aż do listopada, mieszkała ze mną córka moja Agata ze swoim synkiem Marcinkiem, który urodził się w sierpniu 2007 roku. Nie wiem, kto jest ojcem Marcinka.

W akcie urodzenia w rubryce „imię ojca” wpisany jest jakiś Jan Kowalczyk, ale według mnie to fikcyjna osoba. Nigdy go w moim mieszkaniu nie widziałem.

W czasie, gdy córka była w ciąży i bezpośrednio po porodzie, nie mieszkała ze mną, a prawdopodobnie u ojca dziecka. Myślę, że to mógł być taki inny człowiek, Jacek. Jeden raz z nim rozmawiałem i zapisałem nazwisko. Ale nie wiem gdzie i nie mogę sobie przypomnieć. Powiem wam, że ma około 45 lat, 175 centymetrów wzrostu. Jest szczupły i na pewno palił papierosy.

Zawsze miałem słaby kontakt z córką. Nie wiem, czy po urodzeniu dziecka córka moja utrzymywała kontakt z Jacusiem. Chyba nie, bo wprowadziła się do mnie.

Jak chciałem wystąpić o alimenty dla niej, chciałem się dowiedzieć, gdzie mieszka Jacuś, to nie chciała powiedzieć.

Córka na chwilę obecną ma 32 lata, włosy: ciemny blond, ale często zmienia ich kolor.

Podczas gdy mieszkała u mnie, sama zajmowała się synem, była na moim utrzymaniu oraz korzystała z pomocy społecznej. Córce często zdarzało się zostawiać dziecko pod opieką koleżanki, Ani, która mieszka piętro niżej.

Początkowo ta Ania opiekowała się dzieckiem u nas, jednak gdy miał on około roku, upadł jej z tapczanu. Zareagowałem gwałtownie, więc następnie zajmowała się Marcinkiem u siebie w mieszkaniu.

Agata wychodziła i nie wiem, co robiła. Czasem wyjeżdżała na kilka godzin, zabierając ze sobą dziecko.

W listopadzie powiedziała, że wyjeżdża w góry do koleżanek, nie chciała powiedzieć gdzie, niby że w okolicy Żywca. Lub mówiła o Zakopanem.

Ja nie wiem, czy ktoś z Warszawy z nią jechał.

Spakowała dość dużo rzeczy, jakby to był długi wyjazd, a przecież nie miała samochodu.

Wnuka zabrała.

Ja wiem, że Marcinek miał już nocnik, ale nigdy nie widziałem, żeby z niego korzystał. Przypominam sobie, że zwróciłem córce uwagę, że zbyt długie korzystanie z pieluch nie jest dobre dla dziecka. Nie wiem, jakich pieluch córka używała. Na pewno były w kolorze białym.

Kilka razy kontaktowaliśmy się telefonicznie, ale zawsze dzwoniła Agata. Gdy ja oddzwaniałem, odzywał się mężczyzna i połączenie było przerywane.

Rozmowy z Agatą były krótkie, ostatnia w lutym 2010. Powiedziała, że odwiedzi mnie na wiosnę, a wnuk powiedział do mnie kilka słów. Od tego czasu nie mamy kontaktu. Przesyłam natomiast córce pieniądze na wnuka, bo jest moim spadkobiercą.

Gdy zobaczyłem w telewizji zdjęcie chłopca, uznałem, że jest podobny do Marcinka.

On miał śliczne zęby, dużo zębów.

To może być Marcinek.

Dyżurny prosi o numer telefonu rozmówcy. Notuje, że mężczyzna płacze. Jacek Marczewski też by płakał, gdyby nie trzydzieści lat doświadczenia.

Wieczór

Dziadek Marcina nie zna grupy krwi wnuka, ale ma jego szczoteczki do zębów.

– Sprawdźcie, czy matka z dzieckiem opuszczali Polskę – zleca Marczewski.

Teleks wypluwa listę, którą przygotowała Straż Graniczna. Opuszczali, we dwójkę, lecieli do Wielkiej Brytanii. Potem wrócili. A potem, pod koniec lutego – Marczewski wstrzymuje oddech – matka wyleciała bez dziecka.

Śledczy dzwoni do starszego pana z Warszawy.

– Chce pan zobaczyć Jasia? Dowieziemy pana radiowozem.

Poniedziałek, 29 marca

Kiedy starszy człowiek wysiada w Katowicach, czeka na niego Jacek Hutyra i dyskretnie, za blokiem, karetka pogotowia. Jedzie za autem Hutyry aż do zakładu medycyny sądowej. Józwiak miał pomysł, żeby wezwać ją na wypadek, gdyby silne emocje osłabiły dziadka.

– Pan to wojnę pamięta? – zagaja dla rozluźnienia policjant.

Dziadek Marcina pamięta, ponieważ urodził się dwanaście lat przed jej wybuchem. Rodzina w powstaniu warszawskim. Widział martwe dzieci, a teraz boi się, że zobaczy wnuczka.

Dlaczego Agata mu to zrobiła?

Technicy wysuwają z chłodni chłopca z Cieszyna. To obecnie najmłodsze i najlżejsze zwłoki w zakładzie.

Dziadek Marcina osuwa się na ramię śledczego. Już wie.

– Ma wyprostowaną małżowinę uszną. Marcinek miał mniej przylegające uszy – mówi dziadek Marcina i płacze.

Kiedy śledczy odwożą go na dworzec w Katowicach, w kieszeni Marczewskiego dzwoni telefon: Straż Graniczna. Znaleźli w ewidencji małego Marcina.

Agata i jej syn Marcin opuścili Polskę jednak razem. Mieszkają w hrabstwie Yorkshire. Strażnik z Okęcia przeprasza za kłopot.

Cud – myśli Jacek Marczewski – niestety się nie zdarzył.

Cieszyn

Wieczorem na biurku Jacka Hutyry leży dziewięć notatek służbowych. Kolejne osoby dzwoniły w sprawie chłopczyka. To ciąg dalszy pierwszej fali zgłoszeń po anonsach w telewizji i po rozwieszeniu plakatów. Kiedy Hutyra oddzwania

pod wrocławski numer, mężczyzna zapewnia, że w zeszłym tygodniu widział dziecko na terenie centrum handlowego. Identyczne. Te same czapka, kurtka i buty. Śledził je aż na Świdnicką.

Hutyra tłumaczy grzecznie, że ich chłopiec wtedy już nie żył.

„Nasz chłopiec. Jak masz na imię, dziecko?”

Wtorek, 30 marca

Grupa śledcza podsumowuje pytania, na które brak odpowiedzi:

– Dlaczego chłopiec leżał w stawie ubrany? Czyżby umarł w aucie podczas transportu? Po co ubieraliby nieżywego?

– Dlaczego nawet czapka niezdjęta? W zimie, kiedy jedziesz z dzieckiem samochodem, to mu zaraz czapkę zdejmujesz, żeby się nie zapociło.

– Dlaczego nie był specjalnie poobijany? Żadnych podrapanych kolan. Mój w tym wieku uczył się biegać. Miał sińce i strupy.

– Może żył w zamknięciu?

Powraca hipoteza o prostytutce, która ukrywa dziecko, kupuje mu ładne ubranka, żeby mu wynagrodzić podłe życie.

Jeśli tak, psycholog policyjny ma zagwozdkę. Jeżeli ktoś, kto jest związany emocjonalnie z dzieckiem, w przypływie szału je zabije, to je ukrywa. A nie, do cholery, wyrzuca jak śmieć. Chyba że matka niestety nie żyje.

Józwiak dzwoni, by strażacy spuścili wodę w drugim stawie rybny. Może leżą tam opiekunowie? Strażacy znajdują zardzewiały rower.

Z gablot w recepcjach sądów, szpitali, urzędów skarbowych, pogotowi opiekuńczych odtworzonymi przez naukowców z Uniwersytetu Śląskiego oczami patrzy chłopczyk. Ale urzędniczki już przestają wzdychać, jaki ten świat jest zły, że nawet krowy kolczykują, świniom się wyrabia paszporty, a dziecku odetniesz pępowinę i kamień w wodę.

– pisze Edyta Gietka, dziennikarka „Polityki”.

Piątek, 2 kwietnia

Zgłoszeń w sprawie nieobecnych chłopców jest coraz więcej. Z Pomorza:

Szanowni Państwo. Jestem lekarką przyjmującą w małej gminie. Zapewniam, że rok temu w przychodni Zdrowie leczyłam kobietę pracującą w cyrku – panią Edytę. Przychodziła z dzieckiem ładząco podobnym do tego, które pokazywała TV i wszystkie media. W lutym to dziecko miało

skończyć dwa lata. Nigdy więcej go nie widziałam. Może zostało porzucone? Wiecie Państwo, jak to w cyrku.

Dziecko cyrkowców pasuje do teorii o nomadach, imigrantach, podróżujących osobach lekkich obyczajów, kidnaperach, którzy na linii tranzytowej wyrzucają niepotrzebne ciała.

Śledczy z Cieszyna zaczynają od napisania maila do centralnej ewidencji ludności oraz od sprawdzenia na portalu Nasza Klasa. Od razu znajdują Edytę, która wśród koleżanek ze szkoły podstawowej chwali się karierą.

Pracuje w czeskim cyrku Karuzo. To jeden z większych cyrków rodzinnych działających na terenie Czech. Na stronie profilowej Edyty wisi plakat, który zapowiada początek sezonu w środę 10 marca.

Tradycyjnie pokazuje tańczące niedźwiedzie, które co roku są mocnym punktem każdego programu.

W tym roku numery także z polskich scen:

Edyta i Marek – pokazy piesków na wesoło

Polska trupa – ewolucje powietrzne na szarfach, deska, zespół akrobatyczny

Pan Karuzo – tresura egzotyczna: słoń, zebry

Marek – wolna drabina

Duo Maxi – duet komików cyrkowych

Edyta – ewolucje na trapezie

Karuzo – konie z cyrkowej stajni

Wszystko pod namiotem wyprodukowanym na potrzeby cyrku w renomowanej włoskiej firmie Amteloni

W Cieszynie nabierają nadziei. W każdym razie na mapie, która wisi w pokoju zebrania, oznaczają kolorowymi szpilami miasto na Pomorzu oraz Brno. Szpilki dołączają do pierwszej, samotnej, tkwiącej w miejscu Cieszyna.

Wtorek, 6 kwietnia

List z Czech, ale nie od Pana Karuzo:

Dear all. Rozpoznaliśmy Dada Baby Diaper rozmiar junior 15–25 kg naszej produkcji. Tę partię dostarczyliśmy do centrum dystrybucyjnego w Rudzie Śląskiej 11.02.2010.

Wysyłamy Wam nazwiska osób w Rudzie Śląskiej, które powiedzą Wam o dalszych losach tej partii.

Kolejna szpilka na mapie. Jaka była trasa cyrku? – zastanawiają się śledczy na zebraniu grupy.

Jeszcze tego wieczora przychodzi faks z centralnej ewidencji danych. Edyta pochodzi z kujawsko-pomorskiego. Wbijają szpilkę, dyżurny dzwoni do

chłopaków ze Strzelna, żeby pojechali na wioskę przesłuchać matkę cyrkówki.

Środa, 7 kwietnia

Strzelno do Cieszyna:

– Babcia zdziwiła się bardzo z powodu wizyty. Córka z mężem i wnuczką przebywają w okolicach Pilzna. Wczoraj nawet dzwonili. Wrócą tu na wakacje, kiedy cyrk będzie miał przerwę. Zawsze wracają.

Można usunąć szpilkę z kujawsko-pomorskiego.

Komendant Bąk zamawia psychologa, który będzie przyjmował jego chłopców. Policjanci, zwłaszcza ci, którzy mają własne dzieci, źle znoszą śledztwo. Zdarza się bezsenność, czasem agresja słowna.

– Gdyby doszło do zatrzymania – tłumaczy żonie wieczorem Hutyra – trzeba by się było pilnować, by nie przyłożyć.

Psycholog, który przychodzi do komendy, to kobieta. Na razie policjanci krępują się jeden drugiego.

Piątek, 9 kwietnia

Dzwoni dzielnicowy z Tarnowa, który nie może zlokalizować jednego Szymona spod tarnowskiej wsi oraz jego matki Jadwigi. Ponieważ sprawa chłopczyka z Cieszyna wciąż nierozwiązana, może pomóc.

W miejscu zameldowania, informuje, mieszkają matka i siostra zaginionej. Siostra wulgarnie wrzeszczy, że jej nie interesuje Jadwiga i jej bachor. Odmawia dalszej rozmowy i udziału w przesłuchaniu. Sugeruje, że policja ma się odjechać.

Z uwagi na jej ciążę dzielnicowy nie naciska.

Wśród wrzasków słyszy jednak, że Jadwigi nie ma od roku.

Udaje się szybko do ośrodka pomocy społecznej, gdzie dowiaduje się, że rok temu Jadwidze wypłacono pieniądze z funduszu pomocowego, ale dziecko nie było widziane. Pracownik socjalny niestety nie rozpoznałby Jadwigi, bo przychodzi do zbyt wielu klientów.

Ponieważ wioska jest niewielka, dzielnicowy szybko odnajduje najbliższą koleżankę. Mówi ona, że Jadzia i jej konkubent Wojciech wyjechali do Wielkiej Brytanii. Szymonek też. Jadzia znalazła pracę w małej gastronomii,

całodobowy fast food dla ludzi wracających z imprez. Wojciech robi w firmie produkującej koszyki i wózki sklepowe.

Wojtek, pamięta koleżanka, już w Polsce szturchał Jadwigę i groził jej przy ludziach, że jej łeb upierdoli. Dzieckiem się nie zajmował. Mówił, że ten Szymon może nie być jego synem, więc go raczej olewał.

Środowisko naturalne tej rodziny, kończy dzielnicowy, jest specyficzne.

„Koleżanka mówi, że Jadwiga ma być w Littleboro, Litelborrow lub Littleboro. Nie wie dokładnie, jak to się pisze”.

– Sprawdzamy – mówi Marczewski i zawiadamia Biuro Międzynarodowej Współpracy Policji w Komendzie Głównej w Warszawie.

Policjanci z Cieszyna widzą, że włączenie się komendy wojewódzkiej do śledztwa otwiera wszystkie drzwi. Warszawa nie byłaby tak wrażliwa na prośby powiatowe.

Sprawa „Jasiu”, o której trąbi telewizja, robi wrażenie.

W województwie tymczasem trwa sprawdzanie rodzin z chłopcami.

Pod drzwi mieszkającego w Katowicach dziennikarza, ojca dwóch synów, przychodzą niespodziewanie przed dwudziestą drugą. Ojciec tłumaczy, że młodsze dziecko śpi, ale funkcjonariusze nie są usatysfakcjonowani. Proszą, by doprowadzić ich do łóżeczka i obudzić, że żywe. Kiedy syn zaczyna płakać, bardzo przepraszają, ale tłumaczą, że sprawa jest honorowa.

Gdy dzielnicowy przychodzi do ustrońskiego domu Hanzlów, Mariusz akurat stoi na podwórku.

– Jest. – Pokazuje syna. – Tam, w ogrodzie biega.

– Dziękuję bardzo – mówi dzielnicowy i odchodzi.

„Cholera – myśli Hanzel – a gdyby to nie był mój dzieciak?”

Hanzel wciąż myśli o „Jasiu”. Sprawa nie pasuje do niczego, z czym spotkał się do tej pory. Pamięta na przykład, jak rozpaczali rodzice, których córka zmarła z powodu odwodnienia. Niewydurowani, nie byli świadomi zagrożenia, lekarz jakoś nie dopatrywał. Gdy wzięli ją na ręce i zanieśli do przychodni, było już za późno. Pamięta też trzynastolatka z rodziny zastępczej w Zebrzydowicach, który się powiesił. Były to zdarzenia tragiczne, ale

zrozumiałe. Dziewczynka zachorowała, chłopiec zmarł z tęsknoty. Sprawa Jasia jest niewyobrażalna. Nie ma żałobników, nie ma przyczyny, sama śmierć.

Sobota, 10 kwietnia

O godzinie 8.41 samolot z prezydentem Polski i dziewięćdziesięcioma pięcioma osobami na pokładzie rozbija się nad lotniskiem w Smoleńsku. Gina wszyscy. Wozy transmisyjne stacji telewizyjnych ostatecznie zwalniają miejsca na parkingu pod komendą w Cieszynie. Sprawa „Jasiu” i tak już wygasła w mediach, bo ileż można informować, że nic nie wiadomo? Ale teraz jej czas w wiadomościach ostatecznie się skończył.

Poniedziałek, 12 kwietnia

Są wyniki testów genetycznych. Porównano próbki DNA chłopca z dotychczas zgromadzonymi w polskiej bazie. Obecnie znajdują się tam przede wszystkim dane dotyczące byłych i obecnych przestępców. Program komputerowy znajdujący jakiegokolwiek podobieństwa informacji genetycznej wyświetlił pięciu mężczyzn: z Prudnika, Suchowoli, Nowej Soli i dwóch z Siedlec. Jeśli chodzi o Siedlce – obaj od dawna przebywają w zakładzie karnym.

Jacek Marczewski ma przeczucie, że sprawdzanie trzech pozostałych jest bez sensu, ale prosi powiatówki, by posłały do nich swoich chłopaków. Przeczucie, jak okazuje się wieczorem, było słuszne.

Wtorek, 13 kwietnia

Sprawa jest priorytetowa, komórki w Excelu zazieleniają się równym tempem. Dzielnicy w województwie śląskim meldują wykonanie zadania. Nikomu nie brakuje małych chłopaków.

Zdrowy rozsądek śledczego Marczewskiego podpowiada, że w zielonej tabelce są czarne dziury. Na przykład dlatego, że na razie żaden z chłopaków nie napisał notatki, że dziecka nie było w domu albo że nikt nie otwiera. A emigracja, a dzieci przy babciach, a szpitale?

Marczewski nawet wie, dlaczego policjanci nie zgłaszali wątpliwości. Przecież wtedy zadzwoniłby do powiatu i posłał dzielnicowego pod adres,

żeby do skutku szukał chłopca. A tak – w komendach powiatowych mają spokój i tylko się modlą, żeby ten cały „Jaś” nie był od nich.

Gdyby jednego dnia zorganizować na wielkim placu zbiórkę wszystkich dzieci razem z rodzicami i po kolei sprawdzać każdego, może by się udało uszczelnić system.

Bo na przykład: do brata jednego ze śledczych przyszli zapytać o Henia. Henio bawił się klockami.

– Dziękujemy, do widzenia – powiedzieli dzielnicowi.

– A Wojtka już widzieć nie chcecie?

Bo Henio miał brata bliźniaka.

Środa, 14 kwietnia

Prokurator Arkadiusz Józwiak przegląda pocztę i jest rozczarowany.

Pisze producent koszulki w paski. Pierwsza sztuka indeksu numer 2845630 sprzedała się 9 marca 2007 roku w Bielsku-Białej w centrum handlowym Sarni Stok, ale ostatnia w Dniepropietrowsku na Ukrainie w CH Babilon.

Trzeba wbić chorągiewkę w Dniepropietrowsk. Czy Jaś mówił po ukraińsku?

Już wiadomo, że przeglądanie płyt z nagraniami przekroczenia granic to utopia. Czy śpiące dziecko to chłopiec, czy dziewczynka? A w paszporcie imię męskie czy żeńskie? Granica z Ukrainą to granica Unii Europejskiej. Kiedy dziecko wjedzie, to kamień w wodę – myśli Marczewski.



Czwartek, 15 kwietnia

Informacje od producentów odzieży. Kontener ze spodniami chłopczyka opuścił Chiny 23 czerwca 2005 roku, wpłynął do Gdyni miesiąc później. Przetransportowany do sklepów 5.10.15 w połowie sierpnia. W tym samym roku przypłynęła do Polski czerwona kurtka. Z tym że ta akurat do Tesco. Czapka jest starsza, z 2003 roku. Trafiła na bazar w Tuszynie.

Rękawiczka-zabawka wciąż jest zagadką.

Piątek, 16 kwietnia

„Ani jednego śladu” – podsumowuje śledztwo „Głos Ziemi Cieszyńskiej”.

Wtorek, 20 kwietnia

W sprawie Jadwigi i Szymona odpisuje Biuro Międzynarodowej Współpracy Policji. Funkcjonariusze lokalnej jednostki policji w Greater Manchester sprawdzili miejsce zamieszkania osób, o które pytała strona polska. Znaleźli Jadzię i Szymona. Ich życiu ani zdrowiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Znowu nic.

Popołudnie

Jacek Hutyra odbiera anonimowy telefon z Mazowsza.

Mężczyzna informuje, że Anna J., zamieszkała prawdopodobnie na Podkarpaciu, a obecnie przebywająca pod Warszawą, może być matką zabitego chłopczyka.

Mężczyzna obejrzał dokładnie jego portret pamięciowy, przebywając w szpitalu w Otwocku. W 2009 roku w grudniu, przed świętami, widział kobietę z dzieckiem podobnym do tego z portretu.

Teraz ta kobieta znów zamieszkuje obok, ale nie ma dziecka. Zamieszkuje – dodaje mężczyzna – nielegalnie, z konkubentem.

Hutyra dzwoni do Otwocka. Radiowóz na sygnale jedzie na mazowiecką wioskę, z której dzwonił mężczyzna. Blok, o którym wspominał, to czworak.

Rzeczona Anna otwiera drzwi. Z trudnością składa zdania, ale opowiada, wciśnięta w róg wersalki.

Wieczorem Hutyra czyta:

W 2007 roku ja przebywałam z rodzicami w miejscu zamieszkania na wiosce, pomagałam w gospodarstwie rolnym Włodzimierzowi Lato, zamieszkałemu we wsi obok, trzecia chata od naszej wioski. Ale na noc do domu wracałam.

Tam też zaczęłam spotykać się z Andrzejem, nie pamiętam jego nazwiska, miał on 29 lat, mieszkał z dziadkami, rodzice odeszli też na tej wiosce. Poznałam go przez znajomych. Miałam w tej samej miejscowości koleżankę, Weronikę, adresu nie pamiętam.

W miesiącu sierpniu pokłóciłam się z Andrzejem i wróciłam do rodziców. Z Andrzejem nie miałam 3 miesiące kontaktu. Ja w tym czasie spotykałam się z Grzegorzem, nazwiska nie pamiętam, zamieszkałym w drugiej wiosce.

Rozstałam się z nim po tym, jak zostałam zgwałcona w dniu 9 września 2007 roku. Z Grzegorzem spotykałam się około miesiąca. W miesiącu listopadzie Andrzej nawiązał ze mną kontakt, pojechałam do niego w grudniu 2007 roku.

Mieszkałam u niego w wiosce, aż 14 lutego miałam krwotok i pojechałam do szpitala. Tam dowiedziałam się, że jestem w piątym miesiącu ciąży.

Zostałam w szpitalu, w dniu następnym miałam ponownie badanie, gdzie dowiedziałam się, że to dziecko beczaszkowe, bezmózgowe i ma żabie oczy.

Lekarze przedstawili mi sytuację, że będzie żyło, tylko dopóki będzie w brzuchu, potem umrze.

Ja podpisałam zgodę na wywołanie porodu, urodziłam naturalnie, widziałam to dziecko, to była dziewczynka. Byłam jeszcze trzy dni, chciałam zabrać dziecko, żeby je pochować. Ale powiedzieli mi, że nie mogę, ponieważ ojciec dziecka podpisał, że nie wyraża zgody.

Andrzej był ze mną w szpitalu, po powrocie ze szpitala mieszkałam u Andrzeja jeszcze 2 tygodnie.

Po trzech dniach od wyjścia, ze szwagierką Andrzeja, nie pamiętam dokładnie jej nazwiska, pojechałam autostopem na cmentarz do Kielc, żeby znaleźć grób córki. Nie wiedziałam, gdzie jest cmentarz, ale Aneta wiedziała, bo tam też leży jej dziecko, które akurat urodziło się martwe. Długo szukałyśmy tego grobu, ale w końcu go znalazłyśmy. Na grobie było imię Ania i data zgonu, 16.02.2008.

Wróciłam od Andrzeja i zamieszkałam u rodziców.

W dniu 30 maja wyprowadziłam się do Katowic do Roberta.

Poznałam go przed Wielkanocą u koleżanki. Z Robertem mieszkałam do lipca 2009 roku. Ja w miesiącu wrześniu pracowałam w sklepie Lewiatan, a potem Robert mnie utrzymywał. Niestety zachorowałam na kamicę nerek.

W sierpniu wyjechałam do siostry Anny, która mieszka w Niemczech, po powrocie we wrześniu mieszkałam u rodziców, od połowy października pracowałam u pani Marii z miasta Jaworzno. Pomagałam opiekować się jej wnukami w wieku 12, 15 i 17 lat. Zajmowałam się domem, w zamian mogłam pomieszkać i odżywiać mnie ta pani.

Ale potem wróciłam do rodziców.

W dniu 10.01.2010 moja sąsiadka Katarzyna poprosiła mnie, abym dała na chwilę mój telefon. Ona zadzwoniła do jakiegoś chłopaka.

W moim telefonie został ten numer i w końcu z nudów zaczęłam pisać do tego chłopaka. W końcu właściciel telefonu zadzwonił do mnie i okazał się być nim Artur spod Otwocka. Tak zaczęła się nasza znajomość. Dowiedziałam się, że 28.01 Artur ma urodziny, i zapraszał, abym go odwiedziła. Tak więc ja pojechałam do niego około tydzień przed urodzinami. Następnym razem pojechałam na święta. Ponownie przyjechałam dziś.

Przysięgam, że nie miałam ze sobą dziecka.

Był jeden przypadek, że jak byłam po raz pierwszy, wspólnie z Arturem zabrałam jego siostrzenicę, lat 3, Natalię, do Artura do domu. Miała u nas nocować, ale chciała wracać do domu.

Nie wiem, jak się nazywa jej matka. I nie wiem też, gdzie mieszka.

Poniedziałek, 26 kwietnia

Prokurator Józwiak nie może dłużej czekać. Pochowa chłopczyka. Prosi urząd stanu cywilnego o wydanie aktu zgonu dziecka N. N. Ciało chłopca zostanie złożone w grobie na cmentarzu komunalnym w Cieszynie, w dwunastej części dziecięcej.

Wtorek, 27 kwietnia

Cieszynianie reagują na wiadomość o planowanym pochówku. Do komisariatu dzwoni Krystian Kuś, właściciel zakładu pogrzebowego Kalia. Obiecuje, że nieodpłatnie przewiezie chłopczyka z katowickiego zakładu medycyny sądowej do Cieszyna. Przygotuje mu także ładne ubranko.

Miasto planuje wstępnie pogrzeb urzędowy, ale ta informacja spotyka się na forach z powszechnym oburzeniem.

Ciężko wziąć księdza, żeby go pokropił?

– W parafii cały miesiąc zanoszono modły w intencji malucha i wyjaśnienia sprawy. Wiadomo, jaki się nacisk kładzie w dzisiejszych czasach, żeby dziecko miało swoją godność – mówi ksiądz Stanisław Filapek z parafii Świętej Marii Magdaleny na cieszyńskim rynku, gdzie 7 maja planowana jest kolejna msza w intencji chłopca.

Jeśli chodzi o cmentarz, mowę nad trumną wygłoszą wspólnie księża katolicki i ewangelicko-augsburski, zgodnie ze strukturą społeczną Cieszyna.

Spodziewana jest duża frekwencja. Niektórzy parafianie, czując, że dziecko nie może leżeć niczyje, proponują, że wezmą je do swojego grobowca.

Czwartek, 29 kwietnia

Przed wejściem na cmentarz komunalny wiszą klepsydry drukowane według szablonu miejscowego domu pogrzebowego Arkadia. Na górze: „Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia ... zmarł nasz najukochańszy mąż, tato, teść, dziadek” i tak dalej. Na dole: „Pogrzeb Drogiego Zmarłego odbędzie się ... W smutku pogrążona rodzina”. Klepsydry w wersji dziecięcej kończą się: „Śpij, Aniołku”. Karina Żyłka, kierowniczka działu cmentarzy w cieszyńskim zakładzie gospodarki komunalnej, nie wywiesiła dla chłopca żadnego nekrologu. Jak by to wyglądało: N. N.? – zauważa „Polityka”.

Piątek, 30 kwietnia

Przed cmentarzem na ulicy Katowickiej czeka kilkuset żałobników. Niosą kwiaty i znicze, ale przede wszystkim zabawki: misie, zajaczki, serduszka, słonie. Przyszły matki z dziećmi.

Przyszli rodzice w żałobie po śmierci własnych dzieci, którzy czują więź z chłopcem. Sabina i Bogusław przyjechali na przykład aż z Godowa. Ich trzyletni syn zginął pod kołami motocykla. Choć winny jest znany, to sprawy nie wyjaśniono, a rodzice są przepełnieni bólem. Bogusław chciałby, żeby każdy, kto odbiera życie dziecku, poniósł karę śmierci. Żeby został natychmiast powieszony.

Przyszła cieszyńianka Magdalena Gondek, która chciałaby uruchomić specjalne konto, żeby zebrać pieniądze na pomnik. Jeśli nie zrobi się tego teraz, to już nigdy.

Józefa Białek, emerytka, chciałaby zastąpić chłopcu babcię. Żeby nie szedł sam do grobu.

Jej koleżanka wstydzi się, że taka rzecz wydarzyła się w Cieszynie.

Podczas mszy ekumenicznej ksiądz Filapek prosi, żeby modlić się również za opiekunów i rodziców zmarłego, którzy zgotowali dziecku taki los.

Gdy kondukt żałobników zbliża się do grobu, Jacek Hutyra, Arkadiusz Józwiak, Jacek Marczewski i jeszcze kilku śledczych obserwują nietypowe osoby. W klasycznych powieściach, ale i w prawdziwym życiu przestępca przychodzi pożegnać się z ofiarą, taki ma ludzki imperatyw. W kondukcje

wyróżnia się człowiek w dobrym garniturze. Ma mniej więcej czterdzieści lat i widać, że jest bardzo poruszony.

– Przesłuchujemy go? – zastanawiają się.

– Po pogrzebie.

Wojciech Pracki, ksiądz ewangelicki, zastrzega nad trumną, że nie ma słów, którymi mógłby opisać, co dziś czuje.

– Żegnamy dziecko. Choć nie znamy go z imienia, choć umierało w męczarniach, dziś nie jest samotne. Zabrano mu życie, nie okazano opieki, prawa do życia, nie ochroniono go przed przemocą, okrucieństwem, ale jednej rzeczy mu nie zabrano: godności – mówi mężczyzna w garniturze, na którego oko mają śledczy. W ten sposób zatrzymania unika Marek Michalak, rzecznik praw dziecka, który przyjechał aż z Warszawy.

– Prochem jesteś i w proch się obrócisz.

Nie ma suchego oka, widzi Hutyra.

Poniedziałek, 3 maja

Teraz do komendy w Cieszynie dzwonią osoby podające się za jasnowidzów.

Dzisiaj jasnowidz z Krakowa:

– Siedzę nad mapą, mogę podać miejsce, gdzie on leży.

Jacek Hutyra nie może powiedzieć „spadaj”, więc przez następny kwadrans nerwowo rysuje kółka w notatniku.

Środa, 5 maja

Jeszcze przed pogrzebem do Jana Wiznera, kamieniarza z zakładu Granmar przy cmentarzu komunalnym, przychodzi spontaniczny komitet w sprawie zbudowania nagrobka dla nieznanego chłopczyka. Nobilitacja jest tym większa, że na czele komitetu stoi redaktorka z „Faktu”, codziennej lektury Wiznera. Kamieniarz się nie waha.

Pięć dni później okazuje się, że legalna zbiórka nie jest możliwa, a co za tym idzie – nie będzie wynagrodzenia.

Po chwili wahania Wizner zgadza się zbudować pomnik mimo niedogodności. Grobek jest mały, myśli, nie takie ścinki kamienia wyrzucało się na śmietnik.

Wtorek, 1 czerwca

Instytut Ekspertyz Sądowych w Krakowie o ubrankach chłopczyka: nie są nowe, w otrzepinach nie ma lakieru ani szkła, to nie był wypadek drogowy.

Jest też kilka długich włosów. Część może pochodzić od krewnych płci żeńskiej.

Środa, 2 czerwca

Alarm w komendzie. O 6.45 Janusz M. z ulicy Mlecznej widział srebrnego peugeota z rejestracją słowacką. Wysiedli z niego mężczyzna i kobieta. Podeszli do stawu i rzucili kwiaty, dokładnie w miejscu, gdzie znaleziono ciało chłopca. Dlatego Janusz M. tak wcześnie sięgnął po telefon.

Nad staw pędzi radiowóz. Technik kryminalistyczny Mariusz Hanzel znajduje dwa sztuczne kwiaty białe, jeden czerwony i gałązkę bzu czarnego.

Dyżurny zawiadamia wydział wywiadu kryminalnego, który kontaktuje się pilnie z kolegami ze Słowacji. Odpowiedź przychodzi już w południe. Właścicielką samochodu jest Eva B. z Czadcy. Bezdzienna.

Środa, 16 czerwca

Jan Wizner kończy właśnie budować nagrobek.

– Musiałem. Goła mogiła z krzyżem wyglądała tak samotnie.

Poza tym ludzie z okolicy sami zgłosili się do pomocy. Płytę granitową podarowała firma Stagran z Bielska-Białej, zakład Wena z Wieliczki wykonał piękne zdjęcie, litery wykuła Bożena Drapa.

Na pękniętym sercu napis: „Chłopczyk, żył około 2 lat”.

I jeszcze wiersz na grobie, napisany przez Ewelinę Szuścik, cieszyńską poetkę.

Tak bardzo bić chciało
Twe maleńkie serce.
Do życia się rwało,
Zgasło w poniewierce.
Śpij, mały syneczku,
Na cieszyńskiej ziemi.

Ona Cię ukoi
matczynym ramieniem.

Czwartek, 17 czerwca

Informacja o nagrobku ukazuje się w cieszyńskiej gazecie codziennej i – jak wszystkie o „Jasiu” – komentowana jest w internecie żądaniami krwawej śmierci dla morderców. Ktoś podaje w wątpliwość estetykę pomnika, ale ten głos dyskutanci zaraz piętnują jako małostkowy. Jednak największą wściekłość budzi cieszynianin, który wzywa, by już dłużej nie rozpamiętywać minionego cierpienia. Czyli męczeńskiej śmierci chłopca.

Takie rzeczy wydarzają się w naszym życiu co krok (dobrowolna śmierć głodowa działaczy wolnościowych na Kubie, nie będę mnożył dalszych przykładów), więc co tu jeszcze można zrobić poza uczczeniem śmierci malca? Niektórzy czekają na ujawnienie sprawcy czynu, żeby ukoić ich piekące pragnienie zemsty – czy najlepszym rozwiązaniem jest dołożenie kolejnej śmierci? Nie wiemy, jak zginął (zmarł) maluch, a już ustawiła się kolejka egzekutorów. Cierpliwości zatem, najlepiej zapomnieć o tym, co zaszło, i wrócić do sprawy, gdy pojawią się wiążące wyjaśnienia.

Wśród agresywnych odpowiedzi pojawia się też merytoryczna – ktoś tłumaczy adwersarzowi, że zabicie dziecka i nieponoszenie kary jest wbrew regułom społeczeństwa, w którym żyjemy. Ludzie są sfrustrowani bezsilnością. Bezsilność i bezradność budzą agresję.

Środa, 23 czerwca

Arkadiusz Józwiak wnosi o przedłużenie śledztwa o kolejne trzy miesiące. Śledczy sprawdzają:

- dokładne miejsca sprzedaży odzieży;
- banki – wystawców kart płatniczych, którymi w sklepach Smyk płacono za koszulki polo.

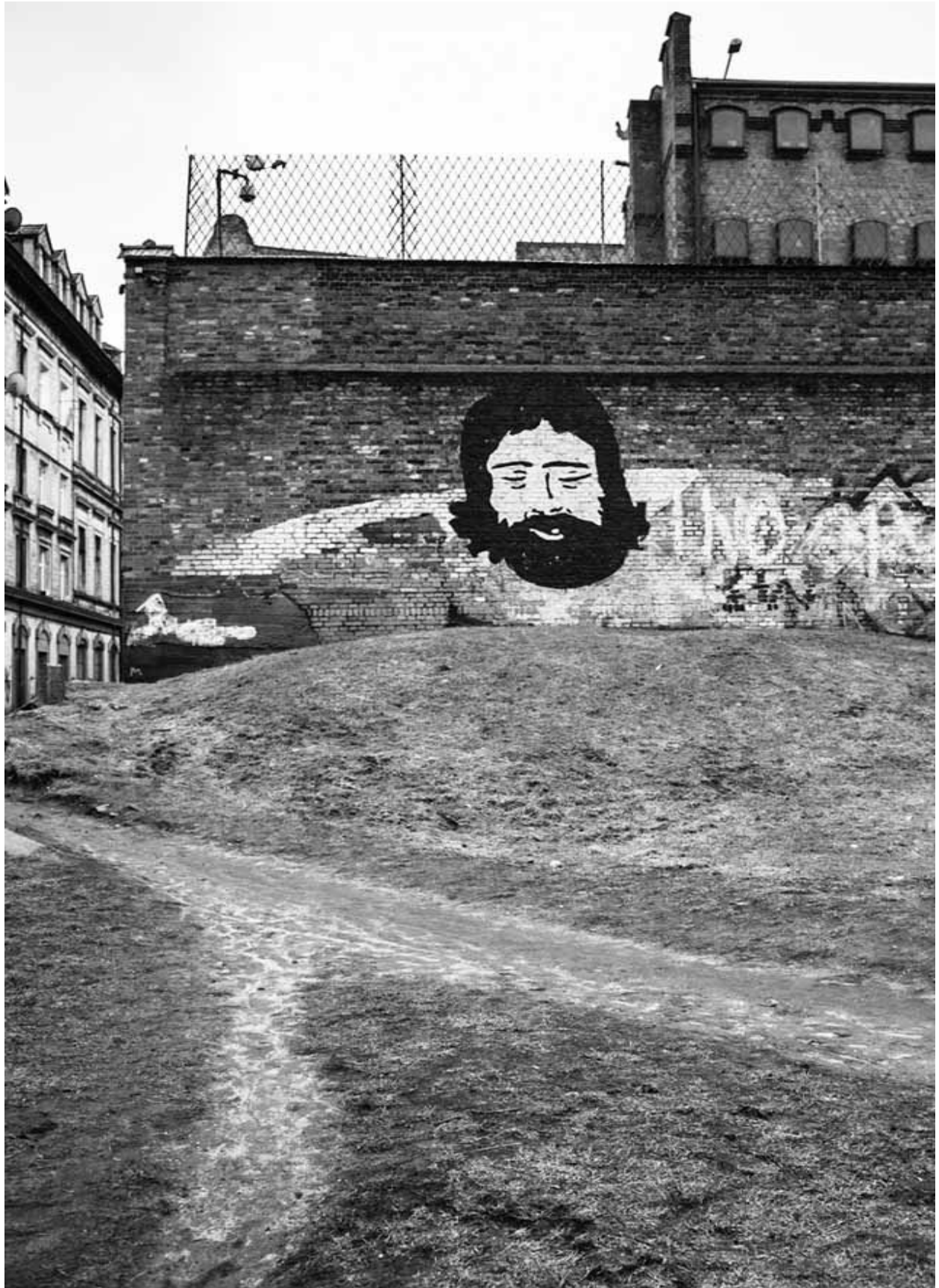
Zwrócą się o zwolnienie z tajemnicy bankowej. Znajdą tych, którzy robili zakupy. To samo z bojówkami model 1L1512 i czerwoną kurteczką. Jeśli chodzi o bluzę z kapturem, dystrybuowała ją firma Tip-Top, której siedziba – pokój w budynku przy ulicy Hipotecznej – nie istnieje, bo cały budynek zburzono.

Oprócz tego – pisze prokurator – trzeba sprawdzić próbki bibułkowe. Od wszystkich noworodków urodzonych w Polsce w publicznych i prywatnych

placówkach szpitalnych pobierana jest krew. Bada się ją w celu wczesnego wykrycia chorób, które nierozpoznane we wczesnym niemowlęctwie powodują upośledzenie. Krew dociera do laboratorium na bibułkach.

Baza znajduje się w Zakładzie Badań Przesiewowych Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie. Z próbek bibułkowych można wyodrębnić DNA i porównać je z materiałem genetycznym chłopca wyłowionego ze stawu. Na pierwszy ogień pójdą dzieci urodzone w powiatach cieszyńskim, żywieckim i bielskim.

Wyodrębnienie DNA z jednej próbki kosztuje kilkaset złotych, typowanie też, ale prokurator Arkadiusz Józwiak jest pewien – nikt nie odmówi zapłacenia faktury w takim śledztwie.



Czwartek, 24 czerwca

Z listów nadesłanych na biurko Hutyry:

W Galerii Krakowskiej spacerował mężczyzna z dzieckiem. Strasznie, rozpaczliwie płakało. Trzymało się za głowę, a on był obojętny. Zapytałam mężczyznę: czy Pan nie widzi, że dziecko płacze? On tylko spojrzał złowrogo.

Moja córka Jadwiga przyjaźni się z Agatą K., która przebywa w Ustroniu. Jej dwie córki ze względu na trudną sytuację finansową zostały umieszczone w rodzinach zastępczych. Uprzejmie donoszę, że obecny konkubent Agaty z Golezowa (nie wiem, gdzie mieszka i czym się zajmuje) ma małego syna z innego związku, ale nikt go nie widział. Według relacji syn powinien mieć dwa lata. Proszę, znajdźcie go!

W windzie na ul. Elsnera 24 palił się mały znicz. Proszę tego nie bagatelizować. Coś się w Polsce złego dzieje.

Jacek Hutyra nie czuje, żeby bagatelizował. Już mu żona mówi, że przesadza z „Jasiem”. A on się upiera, że dopóki nie wyjaśni, kim był chłopak, nie pójdzie na emeryturę. Choć mógłby.

Piątek, 25 czerwca

List z Rudy Śląskiej w sprawie pieluch Dada:

Informujemy uprzejmie, że wspomniana partia towarów była dystrybuowana w Zagłębiu, a dokładniej w Sosnowcu i prawdopodobnie w Będzinie.

Śledczy wbija chorągiewkę w Sosnowiec.

Cieszyńska komenda powiatowa wyznacza nagrodę za informację o chłopcu – pięć tysięcy złotych.

List z firmy Tip-Top:

Przyznajemy, że bluza to nie był udany model i niewielka ilość trafiła na rynek. Rozdawaliśmy ją raczej, przez MOPS-y.

Bielsko-Biała

Poniedziałek, 12 lipca

Nadzieje Arkadiusza Józwiaka, że medialne śledztwo o kryptonimie „Jasiu” otworzy kieszenie w Komendzie Głównej w Warszawie, były przesadzone.

Z Instytutu Hematologii i Transfuzjologii przychodzą wyniki analiz pierwszych próbek. Niestety z fakturami.

Żeby wyodrębnić DNA z próbek bibułkowych chłopców urodzonych w trzech najbliższych powiatach, a następnie porównać je z DNA „Jasia”, trzeba by zapłacić milion złotych.

Komenda Główna informuje Arkadiusza Józwiaka, że nie ma mowy o takim wydatku.

Policjanci w Cieszynie muszą wrócić do oszustw na wnuczka, włamań i przestępczości przygranicznej. Przy „Jasiu” zostaje Jacek Hutyra. W Katowicach – Jacek Marczewski.

Poniedziałek, 6 września

Instytut Nauk o Środowisku Uniwersytetu Jagiellońskiego, który analizował kilka włosów znalezionych w lewym bucie dziecka, informuje, że są to włosy psa. Końcówka włosa jest przycięta, pies mógł być strzyżony.

Poniedziałek, 4 października

Nie ma przełomu.

Atmosferę w komendach wojewódzkiej i powiatowej Jacek Marczewski nazwałby chwilowym zniechęceniem. Dochodzi do głosu przeświadczenie, że dla wielu osób nie jest oczywiste, że dziecku należy się szczególna ochrona, jak przekonywał na pogrzebie rzecznik Marek Michalak.

Marczewski uczestniczył w śledztwie w Zabrze po tym, jak zdesperowany wychowanek domu dziecka prowadzonego przez siostry boromeuszki opowiedział o stosowanych tam praktykach.

Był gwałcony, głodzony i bity, na co pozwalała kierowniczka Agnieszka F., znana pod zakonnym imieniem Bernadetta. Tortury były środkiem wychowawczym. Przez dekadę nikt nie ochronił dzieci. Siostra Bernadetta z pewnością w końcu trafi do więzienia, ale ośrodek stał się już inkubatorem przestępczości. Z dwustu wychowanków, których policja ma w swojej ewidencji, tylko dziewięciu założyło rodziny. Pięciu jest po rozwodzie. Kilku popełniło samobójstwo. Czterdziestu siedzi w ośrodkach zamkniętych,

w domach pomocy społecznej. Połowa z tej grupy była karana za rozboje. Dziewięciu spośród nich – za zabójstwo.

Policjanci z komendy wojewódzkiej mają dane wszystkich wychowanków. Stworzyli sobie bazę do typowań. Kiedy coś zdarzy się na Śląsku – przede wszystkim sprawdzają chłopaków po boromeuszkach.

Jeśli rzeczywiście to któryś z nich popełnił przestępstwo, idzie do więzienia, ale Marczewski nie jest pewien, czy może ich winić. Przychodzili do ośrodka jako kilkuletnie złąknione, skrzywdzone dzieci. System ich zniszczył.

Poniedziałek, 1 listopada

Do grobu chłopczyka na cmentarzu przy ulicy Katowickiej idzie się główną aleją aż do krzyża, a potem w prawo, do sektora dziecięcego. Zniczy jest tyle, że administratorka cmentarza musi je usuwać co dwa dni. Boi się pożaru i uszkodzenia sąsiednich grobów.

Środa, 3 listopada

Nie ma przełomu w śledztwie, ale tydzień po tygodniu Hutyra wbija kolorowe szpilki w miejsca, w których sklepy sprzedawały ubrania pochodzące z tej samej partii co ubrania Jasia – kurtka, bojówki, koszulka i bluza. W Sosnowcu kupowano na przykład i koszulkę, i bluzę. Podobnie w Bielsku-Białej. Oprócz tego pojedyncze ubranka kupowano jeszcze w Gliwicach i Katowicach.

– Jasiu mieszkał gdzieś obok – mówi Jacek Marczewski.

Tydzień po tygodniu technicy przeglądają nagrania z monitoringu okolic Cieszyna. Na nagraniu znad siedziby Banku Śląskiego przy ulicy Daszyńskiego w Ustroniu widać kobietę z chłopczykiem w czerwonej kurtce, która zatrzymała się przed bankomatem. Niestety nie pobierała pieniędzy, więc nie zidentyfikują karty. Jacek Marczewski siedzi przed komputerem i widzi, że za chińskiego boga nie da się rozpoznać twarzy kobiety.

Wtorek, 9 listopada

Wieczorem policjanci z grupy śledczej są bohaterami programu interwencyjnego *Superwizjer* w TVN. Jacek Marczewski zapewnia widzów, że wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw.

Najpóźniej (tego akurat nie mówią do kamer), kiedy chłopczyk nie zgłosi się do szkoły podstawowej. Czyli za cztery lata. Woleliby tyle nie czekać.

Telewizja znów pokazuje ubranka Jasia. Może ktoś je rozpozna.

Późnym wieczorem Marczewski przegląda komentarze pod informacją o programie. „Psy znów żebrzą o pomoc” – to powtarzający się refren.

– Nie żebrałyby, gdybyście widzieli, co się dzieje u was za ścianą – odpowiada ekranowi komputera.

Jak zwykle po emisji programu interwencyjnego do komendy spływa fala informacji o nieobecnych dzieciach.

Najwięcej jest nienawiści i wyzwisk. „Sąsiadka to kurwa, z pewnością zajebała dziecko”.

– To tak, jakbyśmy podnieśli dywan, pod którym leżą ludzkie brudy – mówi Marczewski.

Sytuacja jest taka, że teraz policjanci muszą te wszystkie brudy przeprać, a co najmniej przejrzeć.

Z ostatnich tygodni

Bożena K., bezrobotna, lat 59, martwi się o wnuka Krystiana zamieszkałego w innej wsi pod Sochaczewem:

Ostatnio widziałam go rok temu, kiedy syn go przywiózł. Mówił, żeby do przedszkola u nas na wiosce chodził. A i też, że mu się w domu nie układa. A teraz oni nie utrzymują ze mną kontaktu. Ja ich nie odwiedzałam. Syn nie mówił, gdzie mieszka, zostawił wizytówkę miejsca pracy, którą mam gdzieś w domu schowaną. Ja przypuszczam, że Krystian mógł być powodem konfliktu małżeńskiego. Syn jest agresywny. Ja się martwię, bo jak zobaczyłam w telewizji zdjęcie chłopczyka w stawie, to do złudzenia przypomina on Krystiana. Jeszcze się przyglądałam tablicy w komisariacie i on taki podobny. Nie znam znaków szczególnych, bo nigdy nie rozbierałam wnuka do kąpieli. Syn jeździ po całym kraju, rozwożąc meble, i mógł przebywać na terenie powiatu cieszyńskiego.

Następnie:

Odbywam karę za granicą w Waldheim. Syn mój Denis znajduje się pod nieustalonym adresem. Dowiedziałem się, że w okolicach Cieszyna znaleziono zwłoki chłopca dwuletniego, włosy błę

i o niebieskich oczach. Jak do dnia dzisiejszego nikt się po niego nie zgłosił. Biorąc to wszystko pod uwagę, przypuszczam, że to mój syn. Matka jego zadawała się z różnymi osobami i ma w dalszym ciągu problemy ze środkami odurzającymi. Tak więc mam uzasadnione obawy o mojego syna. Źle, żeby chłopczyk pozostał bezimienny.

P S Co to dla mnie znaczy zawieszenie praw rodzicielskich?

Piątek, 12 listopada

Ci, którzy dzwonią z informacją o zaginionych chłopczykach, chętnie podają imiona. Szukajcie Igora z Rybnika, szukajcie Rafała z Katowic, Bartusia z Hermanic. Oznacza to powtórkę dla dzielnicowych. W niektórych budzi to irytację: przed chwilą sprawdzaliśmy wszystkich, mamy znów pukać? Zwykle pukają.

Banki zwolnione z tajemnicy udostępniają dane osób, które kupowały spodnie i koszulki za pomocą kart kredytowych. Teraz klienci wzywani są na przesłuchania w sprawie zakupów sprzed roku i dwóch. Trzeba przepytąć pięciuset klientów i sprawdzić pięćset transakcji. Niestety płacący gotówką pozostaną anonimowi.

– Sito ma wielkie dziury, ale nie mamy innego – tłumaczy funkcjonariuszom Jacek Marczewski.

Z listów do komendy

Jako dzielnicowy komendy powiatowej poszedłem odwiedzić panią Danutę. Na miejscu zastałem jej matkę oraz wnuczka Oskara lat 3, syna Łukasza i Danuty. Matka Danuty oznajmiła, że córka tu nie mieszka i może być w drodze na cmentarz, ponieważ rok temu straciła córkę Oliwię, lat 5. Umożliwiła nam rozmowę telefoniczną, a potem wizytę.

Pani Danuta miała w domku gospodarczym liczne zdjęcia córki na ścianie, a także zdjęcia swojego syna Oskara, którego spotkaliśmy wcześniej. Jest nadal w żałobie po stracie córki, w trakcie zeznań zachowywała się spójnie. W domku jednorodzinnym panował ogólny nieład, wynikający m.in. ze stanu psychicznego świadka, depresji.

Uprzedzony o odpowiedzialności karnej informuję, że jestem w związku małżeńskim z panią Anną od 1993 roku.

Mam dwoje dzieci, urodzonych w 2004 roku (dziewczynka) oraz 2007 (chłopiec). Nie opiekowałem się żadnym chłopcem w wieku od 12 do 24 miesięcy od marca 2010 roku do chwili obecnej. Nigdy też nie miałem innych dzieci poza tymi, które wymieniłem. Pracuję obecnie jako dyżurny ruchu Metra Warszawskiego. Co do zakupu spodni 5.10.15 w galerii handlowej Warszawa Wileńska, nie pamiętam dnia ich zakupu, nie pamiętam też, jak mogły wyglądać. Skoro płatność odbyła się moją kartą, to z pewnością kupowałem je osobiście. Nigdy nikomu nie pożyczalem karty.

Z racji wieku mój syn nie chodzi w ubraniach zakupionych w 2008 roku. Wszystkie zakupione ubrania oddaliśmy żonie szwagra. P S Nigdy nie byłem w Cieszynie.

Na pytanie, czy kupowałam spodnie w sklepie Raj w Dębicy ul. Rzeszowska nr 114, oświadczam, że prawdopodobnie kupowałam, lecz nie pamiętam kiedy. Syn mój Jakub dawno z nich wyrósł. I ja nie wiem, czy one gdzieś leżą w domu, czy zostały wyrzucone, ponieważ mój syn jest żywym chłopcem.

Spędzam z córkami lato w Polsce, mąż, księgowy, pracuje w Londynie. Wykluczam, bym kupowała takie spodnie. To jasne, że wolę robić zakupy w Londynie.

Mieszkam w okolicy Kozięglów od ok. 3 lat, nigdy nie byłam w ciąży. Jestem matką chrzestną chłopca w wieku 3,5 roku. Czasem kupuję chrześniakowi ubrania. Z uwagi na upływ czasu nie pamiętam dokładnie okoliczności tej transakcji.

Spodnie kupowałam dla wnuka. W dowód przesyłam zdjęcie wnuka w koszulce z danej partii handlowej. Wnuk jest żywy.

W grudniu prokurator Arkadiusz Józwiak znów prosi o przedłużenie śledztwa. Nie ma przełomu. W ścisłej grupie śledczej wciąż tylko Hutyra i Marczewski.

2011

Cieszyn

Czwartek, 10 marca

Hałas na klatce schodowej niepokoii sąsiadów. Przepychanki, a potem krzyki. Mężczyzna z drugiego piętra otwiera w końcu drzwi, żeby uciszyć intruzów.

Widzi dwie postaci. Osunęły się wzdłuż ściany, krwawią. Mężczyzna biegnie na górę, by zadzwonić po policję.

Pół godziny później Mariusz Hanzel jest na miejscu. Szesnastoletnia dziewczyna i jej dziewiętnastoletni były narzeczony już nie żyją.

Obok leży długi nóż.

Śledczy ustalą, że było to samobójstwo rozszerzone.

Stereotyp, że Cieszyn jest wyjątkowo spokojnym miejscem, zostaje ostatecznie obalony. „Jaś” i jego losy ustępują miejsca nieszczęśliwym nastolatkom.

Środa, 20 kwietnia

Jacek Marczewski otwiera „Super Express”, z którego dowiaduje się, że dziennikarze wiedzą, kim jest Jasio. A na pewno wie bielszczanka, która twierdzi, że chłopczyk przed śmiercią mieszkał tuż za ścianą jej mieszkania i był narodowości czeskiej.

Marczewski pierwsze słyszy, ale czyta dalej. „Był śliczny. Blond włosy, dobrze ubrany. Mógł mieć dwa–trzy lata. Dopiero kilka dni temu uświadomiłam sobie, że to właśnie o tym dzieciątku rozpisywały się gazety, gdy wyłowiono zwłoki ze stawu” – mówi dziennikarzowi Maria Jura.

Kobieta pamięta, że matka z dzieckiem pojawili się w jej kamienicy w październiku 2009 roku. Przeprowadził ich pan Darek, który wynajmował lokal, a ponadto prowadził gdzieś w mieście biuro turystyczne Meteor. Dziecku towarzyszyła młoda Czeszka Milena. Podobno przyjechała do Polski za ojcem dziecka, który nie płacił alimentów. Bliższą znajomość z Mileną

i dzieckiem pani Jura zawarła, gdy dwa dni później pomogła Milenie i dziecku wydostać się z mieszkania, w którym po kłótni zamknął ich pan Darek. Dzięki pani Jurze, która przystawiła taboret, oboje wyszli przez okno.

Wrócili już w trójkę. Milena przekazała, że Darek, kiedy się zdenerwuje, jest dziwny. Ale przyszedł z kwiatami i przeprosił. Wtedy przez uchylone drzwi pani Jura zobaczyła chłopca. Siedział spokojnie na kanapie i jadł serek.

Ostatni raz kobietę i jej synka widziała przed świętami Bożego Narodzenia. Wyprowadzili się, a w mieszkaniu wybuchł pożar.

W marcu wyłowiono zwłoki chłopca. Fakty mówią same za siebie.

Policjanci bielscy próbują tłumaczyć, że jeszcze nie mówią. Zwłaszcza że bielszczanka ma obywatelskie porachunki z władzami miasta i sporo czasu na emeryturze



Wtorek, 5 lipca

Wieczorem na kanapie Marczewski przegląda zdjęcia Jasia robione na stole sekcyjnym. Powiększa, pomniejsza. Powiększa znowu. Prawą stronę, lewą. Twarz, ręce, dłonie, ramiona, nogi, stopy. Coś jest nie tak. „Ja pierdolę” – wrywa mu się przy żonie. Jasiu nie ma blizny po szczepieniu! Sprawdza ramiona córek: starsza ma, młodsza też ma. Trzecia – nie wiadomo, bo urodzi się za miesiąc. Siostra Marczewskiego jest lekarzem, Marczewski dzwoni: blizna po szczepieniach musi być czy tylko może? Siostra nie jest pediatrą, więc dzwoni do kolegi. Blizna po szczepieniu przeciw gruźlicy może być, ale nie musi. Świetna odpowiedź, myśli z przekąsem Marczewski, ale to lepsze niż prośba do Komendy Głównej o wizytę w domach wszystkich małych chłopców w całej Polsce. Gliniarze zniechęcą ich do reszty. Na razie założą, że Jasiu powinien był mieć bliznę.

Środa, 6 lipca

Urzędniczka w Sanepidzie w Katowicach bez słowa przyjmuje policyjne pismo. Zaraz przychodzi odpowiedź. Obowiązkowych szczepień nie przyjęło dziewięćset chłopców w wieku Jasia.

– A gdybyśmy sprawdzili dzieciaki, które nie kaszłały i nie były szczepione od 19 marca 2010?

Arkadiusz Józwiak znajduje telefon do centrali Narodowego Funduszu Zdrowia w Warszawie. Prosi o listę zbyt zdrowych chłopców, których nie badał nawet pediatra. Na razie prosi o dane z trzech najbliższych powiatów, potem z całego województwa.

Słyszy, jak urzędniczka w Warszawie tłumaczy podwładnej, by rzuciła wszystkie prace i przygotowała dane.

Dobrze. Sprawa „Jasiu” działa bez zarzutu.

Poniedziałek, 11 lipca

Lista chłopczyków nieszczepionych po 19 marca liczy dziewięćset nazwisk w województwie. Dziewięćset to nie czterdzieści tysięcy. Funkcjonariusze

dziela się tak jak poprzednio. Komenda wojewódzka sprawdza północ, powiatowa – południe województwa.

Kiedy Marczewski znów dzwoni do komendantów powiatowych, słyszy w ich głosie niecierpliwość, a nawet zdenerwowanie.

– Czego, do cholery, chcecie? – odzywa się komendant R. – Rok temu wszystkich sprawdzaliśmy. Po co po raz drugi wysyłać dzielnicowych? Mało są zawaleni robotą?

– Jeśli, kolego, jesteś pewien, że dzieci są odwiedzone, to nie wysyłaj dzielnicowych, tylko mi napisz pismo, że masz wszystkie żywe – odpowiada Jacek Marczewski.

Tak jak przypuszcza, wkurzeni komendanci wydają polecenie, żeby dzielnicowi znów zajrzeli do podejrzenia zdrowych dwulatków. Tym razem tabelka zielenieje powoli. Śledztwo nie ma priorytetu.

Piątek, 25 listopada

Na szczegółowe pytania o to, jak mogły powstać obrażenia Jasia, odpowiadają lekarze ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

Najprawdopodobniej w wyniku pobicia, kopnięcia, uderzenia pięścią w brzuch. Plecy dziecka w tym czasie były oparte o twardy, nieprzesuwalny przedmiot.

Dziecko odczuwało silny ból, który w miarę rozwoju zapalenia otrzewnej się nasilał.

Dziecko miało gorączkę, nudności, wymioty, przyspieszone tętno i oddech, obniżone ciśnienie, kłopoty z oddawaniem moczu.

Józwiak czyta dalej:

Zapalenie otrzewnej u osoby nieleczonej antybiotykami przebiega w trzech etapach.

Pierwsze 24 godziny po wtargnięciu bakterii, kolejna faza, 24 godziny do 3 dni, kiedy namnażają się bakterie i wytwarzają się ciała toksyczne, które wywołują objawy otrucia, a zmiany najczęściej są nieodwracalne.

Silny ból powinien skłonić opiekunów do natychmiastowego szukania pomocy.

Opiekunów „Jasia” nikt nie skłonił.

Katowice

Poniedziałek, 12 grudnia

Od 20 lat znam Aleksandra P., który mieszkał obok mnie w Bytomiu. Ostatni kontakt z nim miałem przed zatrzymaniem, w grudniu 2009 roku na noclegowni w Szombierkach. Przyszedł pod noclegownię z dzieckiem. Rozmawialiśmy. Nie pytałem go, co to za dziecko, było to małe dziecko, miał je na rękach. Olek sam powiedział, że zostawiła go u niego jedna z kobiet i ono nie ma gdzie iść. Dziecko ubrane było kolorowo, wyglądało na zadbane, jakieś 3 lata. Nie wiem, jakiej płci, ubranej sukienki nie miało, było w spodniach. Dziecko nie płakało, nie krzyczało, siedziało grzecznie. Olek nic do niego nie mówił.

Olek chciał zostać na noc w noclegowni, ale mu powiedzieli, że nie można z dzieckiem. Więcej dziecka nie widziałem.

Dodam, że na przełomie 2009/10 roku Aleksander zajmował się handlem foliowymi workami jednorazowymi. Pomagał mężczyźnie, z którym co drugi dzień jeździli na targowiska do Cieszyna, Wodzisławia, Żor i Rybnika samochodem Fiat CC czerwonym.

Za zarobione pieniądze wynajmowali kobiety, które za jedzenie świadczyły im usługi seksualne. Kobiety te przebywały w Bytomiu Szombierkach w wynajmowanym mieszkaniu po kilka dni. Mówiąc dokładniej: zajmowali się również stręczycielstwem. Z tego, co wiem, handlowali kobietami i rozstawiali je po ulicach.

Olek ma dwoje dzieci w wieku szkolnym. Ma również starszą siostrę imieniem Basia. Ja tę Basię znam osobiście, trochę jest zniszczona, ponieważ od dawna pali i pije. Ma córkę imieniem Aneta, która ma dwoje dzieci: syna i córkę lat 5 i 3, syn choruje na padaczkę. Na pewno Aneta jest znana w Caritas, ponieważ pobiera żywność i ubrania, a z MOPS-u pieniądze.

W domu Anety widziałem dużo zwierząt. Chomika, świnkę morską, królika miniaturkę i psa. Pies był mały.

W Areszcie Śledczym w Katowicach telefonowałem do Anety.

W trakcie rozmowy zapytałem ją, czy wie, co się dzieje z tym dzieckiem od Olka, bratanka Anety.

Chodziło mi o dziecko pod noclegownią, ponieważ poruszyła mnie jego obecność.

Ona powiedziała, że dziecko nie żyje, to był wypadek. I się rozłączyła, a następne połączenie mogę wykonać za miesiąc. Jak usłyszałem odpowiedź, to skojarzyłem informację.

Czy to nie dziecko od Olka wypłynęło w Cieszynie?

Historia mężczyzny z Wołowa jest podobna do tej, którą zaczęli rozpracowywać po liście sprzed miesiąca. Konkubina mężczyzny odbywającego karę zaczyna przejawiać brak zainteresowania konkubentem, tak się zdarza. Kiedy szedł siedzieć – była w ciąży, ale było to dwa lata wcześniej. Teraz nie chce mówić o dziecku.

Kiedy wreszcie dzwoni, na pytanie o syna odpowiada, że nie żyje. Rozłącza się, a osadzony wpada w depresję.

Gdy dzwoni miesiąc później, telefon konkubiny pozostaje nieaktywny. Telefonuje na policję, a sprawa trafia do komendy wojewódzkiej. Pula „Jasiu”, ze względu na datę urodzenia.

Śledczy przeglądają bazę PESEL.

Rzeczywiście, chłopczyk się urodził, jednak w domu nie ma dziecka ani kobiety. Matka, widzą śledczy, miała jeszcze starsze dzieci. Mieszkają w rodzinie zastępczej.

Śledczy dzwonią do szpitala, w którym miał się urodzić.

Rzeczywiście, mają w dokumentacji to dziecko.

Jacek Marczewski znajduje adres i dzwoni do matki zastępczej starszych dzieci. Wtajemnicza rodzinę w sprawę. Przekonuje, żeby kobieta pozwoliła pobrać próbki DNA dziewczynek. I jeszcze żeby podczas ewentualnych odwiedzin zapytała matkę o to młodsze dziecko.

Zasadzka zastawiona. Czeka na matkę.

2012

Wtorek, 24 stycznia

Na policję w Sosnowcu przybiega zapłakana dwudziestodwulatka. Nazywa się Katarzyna Waśniewska, mieszka na Starym Sosnowcu, zgłasza zniknięcie swojej półrocznej córki Magdaleny. Spacerowała w parku Dietla, zwanym przez miejscowych parkiem Żeromskiego. Ktoś uderzył ją w głowę, a potem zabrał dziecko z wózka.

Jeszcze tego samego dnia lokalna telewizja przygotowuje materiał o porwaniu. Pokazuje zdjęcie malutkiej dziewczynki z prośbą o kontakt wszystkich, którzy coś wiedzą.

Policja wojewódzka staje na baczność.

Sprawa „Jasiu” trafia na półkę ze sprawami niepilnymi.

Poniedziałek, 30 stycznia

Porwanie Madzi porusza serca.

Na komisariaty w Sosnowcu i Katowicach trafia pierwsza fala listów – i nienawistnych, i podsuwających możliwe rozwiązania.

Do rozpaczającej publicznie matki dzwoni podający się za detektywa były milicjant Krzysztof Rutkowski, człowiek specjalizujący się w sprawach nośnych medialnie.

Są głosy, które porównują los Madzi z losem bezimiennego chłopca z Cieszyna. Może to ta sama osoba krzywdzi dzieci ze Śląska i z Zagłębia? Z tym że Madzia być może jeszcze żyje.

Jacek Marczewski bierze udział w spektakularnych poszukiwaniach, ale w gronie śledczych od razu podejrzewają, że opowieść mamy Madzi jest fikcją. Wiedzą jednak, że nie można się zwierzać mediom z takich podejrzeń. Oficjalnie więc pracują nad uprowadzeniem i nie wahają się przed podjęciem każdego tropu. Kiedy na przykład ktoś dzwoni z tramwaju i mówi, że widział

Madzię, radiowóz na sygnale zatrzymuje tramwaj, a funkcjonariusze sprawdzają dziewczynkę w wózku.

Jednak silniejsze jest przecucie, że dziewczynka nie żyje i że przyczyniła się do tego matka. Co do tego, że Katarzyna Waśniewska kłamie, Jacek Sacha zyskuje pewność, kiedy ze stoperem w ręku spaceruje po sosnowieckim parku, żeby zweryfikować zeznania matki.

Sprawdza je zdanie po zdaniu. Na przykład gdy czyta: „o 14.30 mijął mnie tramwaj nr 27”, wykonuje telefon do sosnowieckiego przedsiębiorstwa komunikacji miejskiej, żeby sprawdzić, czy tramwaj rzeczywiście przejechał, czy może zmagął się z awarią. Wbija szpileczki w mapę parku i tak wyznacza trasę Waśniewskiej z wózkiem. Konstatuje, że zanim rzekomo zemdląca, w parku Waśniewska spędziła czterdzieści minut, choć przejście go zajmuje najwyżej dziesięć. Miała czas, by ewentualnie ukryć zwłoki córeczki. Kiedy cała Polska szuka małej Madzi, a do próśb o uwolnienie dziewczynki przyłącza się mąż Katarzyny, policjanci są przekonani, że dziecko leży w parku. Ale nie spieszą się z poszukiwaniami.

Waśniewska, uważa Marczewski, musi sama przyznać się do zbrodni i wskazać miejsce, w którym ukryła córeczkę. Gdyby zatrzymać Waśniewską, a zwłoki dziecka znalazłyby się po zatrzymaniu, mogłaby twierdzić, że kidnaper wystraszył się nagonki, zabił dziecko i je ukrył.

Policja współwinna morderstwa, Katarzyna to ofiara – taka byłaby linia obrony. Katarzyna płakałaby jak bóbr przed kamerami. Już widać, że jest twardą zawodniczką. Wszyscy jej wierzą.

Czwartek, 2 lutego

Katarzyna to twarda zawodniczka, ale już wyczerpana psychicznie. Rutkowski jej nie odstępuje, więc to właśnie jemu wyznaje, że powie, gdzie ukryła zwłoki. Wsiada do jego auta, jadą w kierunku Sosnowca. Rutkowski z miejsca łapie za telefon. Mówi telewizjom, że mogą przyjechać, ponieważ rozwiązał sprawę. Katarzyna słyszy i jest rozczarowana: miało być dyskretnie. Ona, detektyw, policja i biedna córka. Teraz widzi, że detektyw ma priorytety, więc na złość pokazuje przypadkowe miejsce w parku. Wezwani na miejsce

policjanci nie znajdują zwłok, ale zatrzymują matkę na czterdzieści osiem godzin.

Marczewski i koledzy mają tylko dwa dni, by wydobyć prawdę albo znieść pogardę opinii publicznej. Katarzyna jest kilkakrotnie przesłuchiwana. Drugiego dnia, w rozmowie z policjantem z wydziału kryminalnego, pęka. Po cichu, bez blasku fleszy kilka nieoznakowanych samochodów operacyjnych wyrusza do Sosnowca. Katarzyna wskazuje miejsce ukrycia zwłok córeczki. W parku. Tłumaczy, że zdarzył się wypadek. Teraz zaczyna się batalia o przyczynę zgonu: nieszczęśliwy wypadek czy bestialskie zabójstwo. Dożywocie czy kilkuletnia izolacja.

Wtorek, 13 marca

Tymczasem do Jacka Marczewskiego dzwoni matka zastępcza. Pytała konkubinę więźnia z Katowic, kiedy ta przysła odwiedzić biologiczne dzieci.

– Panie władzo, był chłopczyk, po urodzeniu umarł w szpitalu.

Konsternacja: w systemie ewidencji ludności nie miała innego dziecka. Marczewski znów jedzie do szpitala. Ordynator jest mniej uprzejmy, ale obiecuje, że oddzwoni.

I rzeczywiście, zaraz oddzwania.

– Niesamowita sytuacja, panie władzo. – Tym razem przemawia aksamitnym głosem. – Dziecko zmarło, a szpital nie wysłał do urzędu stanu cywilnego informacji o śmierci noworodka. Czy pan władza wyciągnie konsekwencje?

„Jeśli w systemowym sicie są takie dziury – myśli Marczewski – już kilka razy wypuściliśmy z rąk morderców Jaśka”.

Piątek, 20 kwietnia

– Minęły dwa lata, nic się nie kształtuje – mówi prokurator Arkadiusz Józwiak do Jacka Marczewskiego. – Czas się skończył.

Potem dzwoni do Hutyry.

– Zapakuj, chłopie, akta i przyjeżdżaj. W poniedziałek umarzamy „Jasia”.

Pocieszają się nawzajem, że czynności będą trwałe. Mają jeszcze do sprawdzenia osiemdziesięciu ośmiu chłopców na liście „zbyt zdrowych”.

Podziela się tymi adresami. Nawet gdyby mieli objechać wszystkie rodziny osobiście. Ale kiedy Jacek Hutyra jedzie z aktami, ma poczucie, że to największa porażka w całej jego karierze.

Sobota, 23 czerwca, dochodzi 16.00

Telefon z komendy w Cieszynie Hutyra odbiera przy plewieniu piwonii.

– Chyba ich mają – krzyczy komendant Bąk. – Jedziesz do Będzina.

Część II

23 miesiące Szymona

Mama

Mama Szymona ma niecałe dwa lata, kiedy spotyka przyszłych rodziców.

Mieszka w bytomskim sierocińcu, kiedy Janina i Mieczysław rozglądają się za dzieckiem, najchętniej chłopcem.

Jest połowa lat siedemdziesiątych. Mieczysław, rocznik 1932, jest górnikiem. Urodził się w Suchej Beskidzkiej; miał czternaście lat, kiedy do wsi przyjechali agitatorzy górnośląskiego eldorado. Dorosłości doczekał w hotelu robotniczym w Tychach, skończył kursy zawodowe, po czym poznał Janinę. Nie mogli mieć dzieci.

Tymczasem Beata w domu dziecka siedzi od roku. Jej strategią, zachwalają wychowawcy, jest spokój i siedzenie w kącie.

– Beatka – mówi znajoma rodziny, tyska sąsiadka – wpatrzona w nowego tatę. Od razu „za Mietkiem”.

Formalności są czasochłonne. Biologiczna matka zrzekła się Beaty, ale ojciec w zakładzie karnym nie chce, chociaż nie ma widoków na wolność. W końcu nowi rodzice dostają Beatkę.

– Złą przeszłość masz za sobą – cieszy się wychowawczyni. – Będiesz córeczką.

Wkrótce zaczyna mówić „tato” i „mamo”.

Marzenia o synu rodzice spełniają kilka lat później. Od pijanego kuzyna Janiny biorą Antosia. Mówią: „Obce wzięliśmy, a swojego zostawimy? Nigdy”. A potem jeszcze jednego chłopaka do rodziny zastępczej.

Zapełnia się puste miejsce, w którym w tradycyjnej rodzinie znajdowałyby się dzieci. Z tym że syn zastępczy chorowity, nie do życia, a Antek, co swoje przeżył, nieusłuchany.

– A Beatka zamknięta w sobie. Małomówna. Idealne dziecko – mówi tyska znajoma Janiny i Mieczysława.

Pięć lat później mieszkają w jednopiętrowym biedadomu w mysłowickiej dzielnicy Ławki. To prawie wieś, niezbyt popularna – nikt, kto wioskę

podkarpacką z ulgą zamienił na miasto, sam z siebie tam się nie pcha, chyba że rodzina z trójką dzieci. Las, staw, kościół w budowie, dwustu mieszkańców i kopalnia Wesoła dwa przystanki dalej.

Wiesiek z sąsiedniej ulicy Murckowskiej jest pierwszą miłością Beaty.

– Parafia była w budowie, więc zajęcia z religii mieliśmy u kościelnego w domu. Cała młodzież z Ławek, różne klasy. Tak się zakochaliśmy – mówi Wiesiek.

Beata ma piętnaście lat, narzeczony osiemnaście.

Rok później przychodzą do proboszcza na zapowiedzi.

– Beata była w ciąży. Sąd już wydał zgodę na ślub, ja też – mówi proboszcz. – Tylko że ona straciła dziecko. Powiedziałem: „Ustał powód, nie musicie się żenić”. A oni, że się chętnie pobiorą. Dwa lata później, w grudniu 1990 roku, urodziła się Agata. Beata miała osiemnaście lat, szkoły nie udało jej się skończyć. Nie było zresztą presji. Pan młody poszedł do kopalni. Tata Beaty przepisał im piętro.

Następnie urodziły się dzieci: Marzena w 1991 roku, Karolina w 1993, Robert w 1994 i Jacek w 1996.

W tym czasie Beata, wspomina proboszcz, jest pierwsza do pomocy w nowo wybudowanej parafii. Małomówna, ale obecna. Sprząta, przystraja kościół na święta i komunie.

Są momenty, kiedy Mieczysław widzi w córce matkę pełną gębą. Gdy rozkłada na podwórku dmuchany basenik, patrzy, żeby się dzieci nie potopiły.

W archiwum rodzinnym jest też fotografia, na której lepi z dziećmi bałwana.

Kopalnia rzuca Wieśka w roku 2001 z dwóch powodów. Pierwszym są redukcje w przemyśle wydobywczym, drugim wódka.

Oba powody osłabiają małżeństwo.

– Beatka była pierwsza, żeby ryczeć, jak ktoś wypił – mówi Wiesiek.

Nie przyjmują się jego kolejne posady, nawet te załatwiane przez teścia. Zamiast na kopalnię trafia do barów, gdzie przesiaduje w towarzystwie mniej wymagających kobiet.

– Błędy młodości – komentuje.

W każdym razie na początku XXI wieku Janina i Mieczysław utrzymują wnuki z emerytury, a Beata – zauważa tyska przyjaciółka Janiny i Mieczysława – ma dość siedzenia w domu, chce mieć teraz coś z życia.

Na razie ma tatuaż w kształcie róży na prawym ramieniu.

Nabiera pewności siebie i mniej więcej w 2004 roku ostatecznie wystawia Wieškowi walizkę za drzwi.

Mąż wraca do matki, ponieważ nie ma mieszkania ani pracy.

Agata i Marzena, najstarsze córki, spotykają go parę razy nietrzeźwego w okolicach sklepu. Udają, że nie widzą, chociaż tata czasami przynosi młodszym dzieciom słodycze.

Nowi potencjalni partnerzy Beaty pojawiają się za pośrednictwem internetowego serwisu randkowego w telefonie, w czasach przed smartfonem.

Na Ławkach pojawia się więc kierowca tira. Niestety traci prawo jazdy, pracę, w końcu zainteresowanie Beatą i jej dziećmi.

Małżeństwo Beaty i Wieśka formalnie kończy się w 2005 roku. Fundusz alimentacyjny wypłaca matce osiemset złotych na piątkę dzieci.

Krótko później, w letnią sobotę, po raz pierwszy przyjeżdża nowy chłopak Jarek, który ma stałe zatrudnienie. Wybrał go telefon.

Jarek jest wysoki i przystojny, blondyn z modnymi tatuażami. Na prawym ramieniu łańcuch, na lewym Rak, znak zodiaku.

Wiesiek do dziś pamięta pierwsze spotkanie z tak zwanym szwagrem. Przed Wigilią przyszedł ze słodyczami dla dzieci, najprawdopodobniej trzeźwy.

Beata i Jarek byli w domu.

– Co tu robisz, chuju? – zapytała Beata. – Wypierdalaj.

Zmieniła się, zhardziała – widzi Wiesiek i spełnia polecenie.

Proboszcz, który ma trzeźwy ogląd sytuacji, uściśla:

– Wyszedł i już nie wrócił. Obraził się na nią, czuł się urażony. Na dzieci trochę też, bo tego gadania słuchały.



Tata

– Kochane dziecko, nie trzeba było na niego podnosić ręki. Porządny i odpowiedzialny – mówi o synu Eugenia, mama Jarosława.

Jest kucharką, mąż robotnikiem; starsza siostra Jarka czuje, że nie jest najważniejszym dzieckiem. Wszyscy mieszkają w Będzinie na osiedlu Syberka, które w latach siedemdziesiątych nazywa się po prostu Manhattanem.

Są szczęściarzami, że trafili na Manhattan.

Lekko górzysty teren dzielnicy Małobądz nowocześni architekci postanowili dodatkowo wyeksponować dzięki wysokim blokom. Do 1985 roku wprowadza się tu dwadzieścia tysięcy obywateli – budowniczych Huty Katowice oraz tych, którzy mieli szczęście uciec ze starego budownictwa, z przedwojennych kamienic w centrum miasta. Syberkę, ze względu na region, z którego przybyła znaczna część obywateli, nazywa się dziś Małymi Kielcami.

Rodzice Jarosława cieszą się centralnym ogrzewaniem, wspólnym zsypem, windami, korytarzem z lamperią i szczelnymi oknami.

W centrum, w starej nieremontowanej kamienicy z piecem, mieszkają wujek i babcia Jarka. Mają pecha. Kamienice są nie wiadomo czyje. Pożydowskie, na razie polskie, bez widoku na remont, bo po co. Kto może, ten szuka nowego budownictwa.

Chłopak kończy szkołę podstawową, uczy się na mechanika ślusarza, po czym odbiera bilet do wojska. Umiera ojciec, siostra wychodzi za mąż, w trzypokojowym mieszkaniu zostają Eugenia i Jarek.

W 1991 roku zaraz po wyjściu z wojska zatrudnia się jako kierowca w zakładzie pogrzebowym. Gdy trzeba, jeździ po farby do trumien, czasem po kleje. Szef jest zadowolony, współpraca układa się przez cztery lata, ale potem w biurze dochodzi do niefortunnego zdarzenia, którego szef jest mimowolnym świadkiem. Mianowicie wchodzi do pokoju, w którym Jarek szarpie jego pracownicę, a swoją partnerkę. Mężczyzna rozdziela parę, a wciąż

awanturującego się Jarosława wypycha na zewnątrz. Zanim odszedł, kopał w drzwi.

Następnie zatrudnia się w pogotowiu ratunkowym w Sosnowcu. Poznaje dziewczynę, lecz to nie jest jeszcze ta jedyna, rozwodzą się, zanim pojawią się dzieci.

Eugenia widzi: Jarek szuka stabilizacji. Najczęściej w telefonie, przez internetowe serwisy randkowe.

Znajduje ją w osobie trzydziestodwuletniej rozwódki z Warmii, która wprowadza się na Syberkę w 2003 roku, razem z synami: szesnastoletnim i dziesięcioletnim. Narzeczona trochę gotuje, częściej jednak Eugenia. Czasem też pracuje, ale bazą egzystencji jest emerytura matki Jarka.

Jarek nie siedzi z założonymi rękami. Szuka. Jeździ jako przedstawiciel handlowy Algidy. Matka widzi: stara się, bierze odpowiedzialność za chłopców, jedzie z nimi na przykład na wycieczkę do Krakowa, dba, żeby odrabiali lekcje i żeby był porządek.

Narzeczona i jej synowie szybko zauważają, że jego wizja świata jest słabo negocjowalna.

– Dzielił się swoją pensją, ale wszystko w domu musiało być zrobione tak, jak sobie wymyślił. Rzeczy w szafach kazał składać dotąd, aż będą wyglądały, jak on chciał, czytana książka miała być założona karteczką i odłożona na półkę, niedopuszczalne było pozostawienie jej na stole. Na niedopatrzenia reagował krzykiem. Raz uczynny i miły, a zaraz szorstki i porywczy. Czasem uderzył, chociaż tylko otwartą ręką – wspomina narzeczona. – Niestety uwziął się na mojego młodszego. Nie podobało mu się, że chłopak jest „przy sobie” i za dużo je. Miał pretensję, że się spóźnił o pięć minut, że miał zabłocone buty, plamkę na spodniach czy brzydki charakter pisma.

Potrafił mu porwać zeszyty. Tylko młodszemu – starszemu nigdy.

Młodszy syn tak to pamięta:

– Jak nie zasłużyłem, nie dostawałem śniadania. On regularnie mnie bił. Miałem ślady od pasa w dół, na zajęciach WF ćwiczyłem w długich spodniach. Nauczyciele nie zauważali. Raz tylko zapytali, po co mi opaska na

czole. Wstydzilem się, bo miałem ponadrywane uszy. Podnosił mnie za nie, dlatego. Nauczycielka nic nie powiedziała.

Jeszcze raz narzeczona:

– Wiosną 2004 pobił młodszego, gdy byłam w pracy. Miał siniaki i jeszcze bardziej ponadrywane uszy. Zadzwoiłam po policję. Zabrali go do szpitala. Ja ze starszym pojechałam radiowozem na noclegownię. Drugiego dnia wróciłam tylko po swoje rzeczy.

Ośrodek Interwencji Kryzysowej w Szopienicach odnotował przyjęcie narzeczonej, z adnotacją, że młodsze dziecko leży w szpitalu z powodu uszczerbku na zdrowiu. „Potrzebna jest pomoc psychologiczna i prawna, rozmowa z pedagogiem szkolnym i terapia”. I tyle.

W sprawie pobicia syna prowadzone jest postępowanie, ale zostaje umorzona na wniosek narzeczonej, która tłumaczy, że nie chce już stresować dzieci. Poza tym postępowanie nie ułatwiłoby naprawy relacji z Jarkiem.

Eugenia potwierdza, że konflikty między narzeczoną a jej synem nasilały się od pewnego czasu. Dodaje, że narzeczona nie pracowała i w rezultacie cała czwórka była na jej utrzymaniu. Interwencję pamięta trochę inaczej.

– Ona wezwała policję, która ją gdzieś zabrała. Synów też. Ale po kilku dniach wróciła. Doszło do kolejnej awantury, ale ta pani była pod wpływem alkoholu i ponownie wezwała policję, ponieważ nie chciałam jej wpuścić do mieszkania. Policja w trakcie interwencji zabrała synów, ona została w mieszkaniu. Następnego dnia wyszła i już nie wróciła. Nie wiem, gdzie jest. Nie wiadomo mi, by synowie mieli jakiegokolwiek obrażenia.

Narzeczona dodaje jeszcze, że żyjąc z Jarosławem, zaszła w ciążę, ale ją straciła. Nie chce o tym rozmawiać, ponieważ jest to doświadczenie traumatyczne.

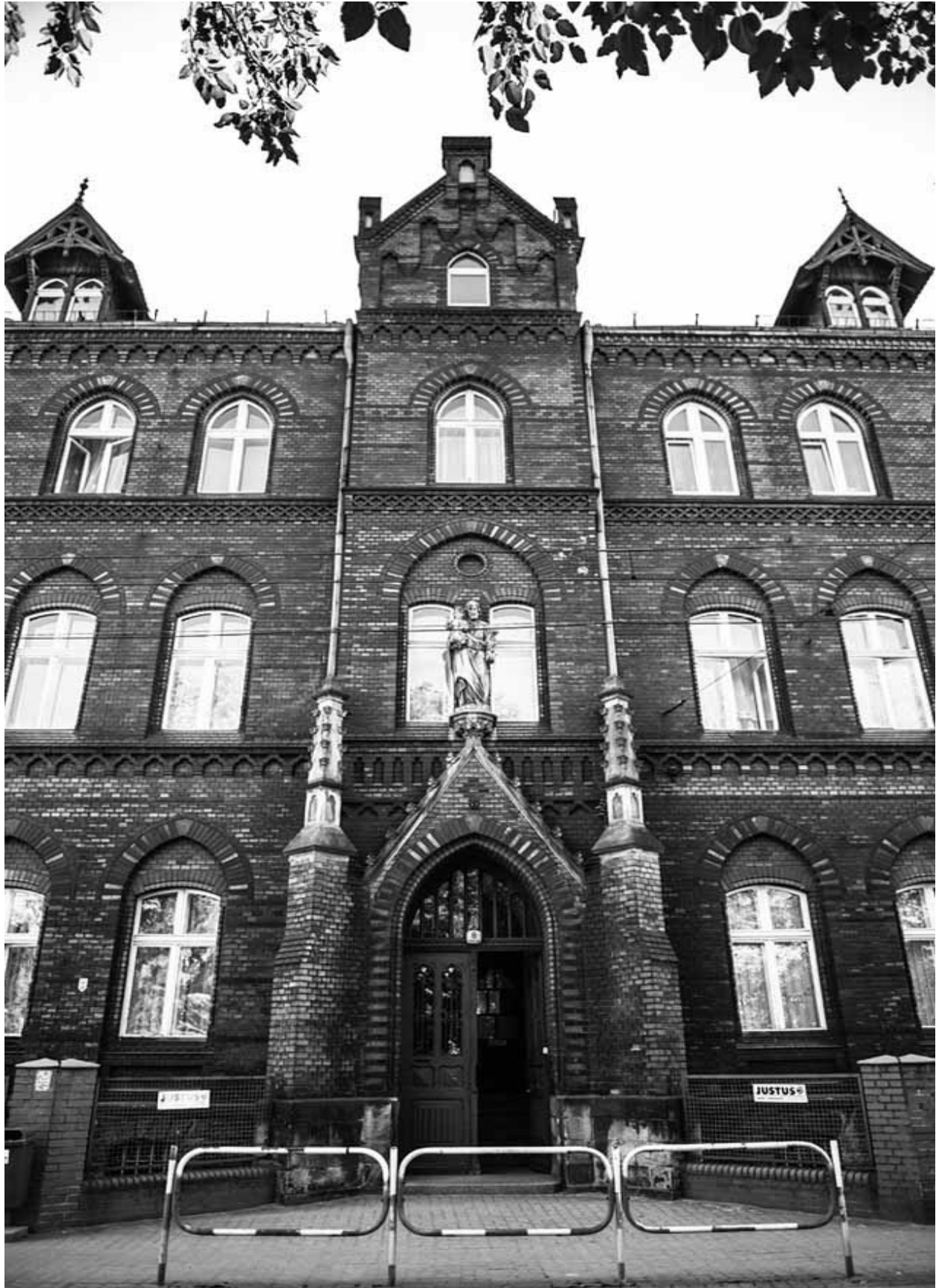
Młodszy syn pamięta, że z Będzina wrócił do ojca na północ Polski, gdzie wkrótce zaczęto go leczyć w ośrodku psychiatrycznym, ponieważ miał myśli samobójcze. Mama też wróciła, ale zaraz wyprowadziła się do nowego narzeczonego. Chciała żyć.

Po zakończeniu związku Jarek intensywnie szuka kobiety swojego życia. W 2006 roku rodzi mu się dwoje dzieci, każde z inną narzeczoną.

Beatę przyprowadza do domu w sylwestra 2005 roku. Nie widać, że jest w ciąży, taka jest drobna. Krótco później inna pani, dobra znajoma z Syberki, rodzi Jarkowi syna. Jarek do końca chce utrzymać w tajemnicy przed matką narodziny pierwszego wnuka. Niespodziankę psują plotkujące panie w sklepie, i tak mama Jarka dowiaduje się, że jest babcią.

Po narodzinach pierwszego wnuka Eugenia sięga do słoja na komodzie i wręcza Jarkowi sto złotych, żeby pojechał do szpitala. Jedzie i nawet wprowadza się do narzeczonej. Ale wraca po miesiącu. Mówi, że to nie to, jej matka zaczyna się wpierdalać. Jarek uważa, że tego związku nie da się nawet nazwać związkiem. Zdarzyło się, i tyle. Jakoś przestał się kontaktować z matką i dzieckiem. Alimenty szły z pensji. Zresztą zaraz miało się urodzić kolejne dziecko, tym razem z Beatą.

Mama pierwородnego syna Jarka jest niemile zaskoczona, że Eugenia nie poznaje jej na ulicy, kiedy ta spaceruje z wózkiem po osiedlu albo kiedy wpadają na siebie w sklepie. Jarosław też omija obojętnie swoje pierwsze dziecko.



Rok 2006 to w życiu Jarka podwójna stabilizacja. Po pierwsze – rodzą się jego dzieci.

Po drugie – zdobywa stałą pracę w Regionalnym Ośrodku Kształcenia Kadr przy Izbie Skarbowej w Katowicach z Siedzibą w Będzinie. Znow jest kierowcą. Opiekuje się służbowym fordem.

Wozi kierowniczkę: do Warszawy, na szkolenia do Ustronia, do prezydenckiego pałacu w Wiśle. Ma dobrą opinię, błyszczy poczuciem humoru, nie ma skłonności do irytacji. Samochód jest czysty i zatankowany, kierowca punktualny.

Dużo opowiada o swoich dzieciach.

Miłość

Po tym, jak wybrał ich telefon, przypadli sobie do gustu i Beata zaszła w ciążę, Jarosław przyjeżdża po pracy do Mysłowic, a Beata na weekendy do Będzina. Problem w tym, że mama Beaty od początku jest przeciwna wysokiemu blondynowi z miasta: Beata hardziej przy Jarku. Widzi tylko Jarka – a piątka dzieci?

Mieczysław też jest przeciwny, ale miękki. W domu na Ławkach to Janina jest od wychowywania.

– Jedno zakazuje, a drugie pozwala – mówi tyska znajoma rodziny.

Zresztą w 2005 roku Beata ma skończone trzydzieści dwa lata, co robić?

A potem Janinę zaczyna boleć w dole brzucha. Ma cukrzycę, następnie operację kobiecą. Potem powoli zaczyna się rozwijać nowotwór, matka nie ma już siły na walkę z upartą córką.

Najstarsza córka Beaty Agata ma czternaście lat i pozbawiona silnej ręki, zaczyna intensywne życie towarzyskie. Prowadzi je na dyskotekach, niekontrolowana przez nikogo. Beata, jeśli to akurat widzi, jest przeciwna.

Agata:

– Szarpałyśmy się czasem, ale policja raczej nie przyjeżdżała. Raz tylko doprowadziła mnie do domu, jak nie wróciłam na czas.

Jarek, kiedy odwiedza Beatę, chce wziąć odpowiedzialność również za jej dzieci.

– Raz Jarek widział, że zamiast iść do szkoły, zostałam rano w domu, koleżanka do mnie przysłała – przypomina sobie Agata. – Miałam na popołudnie, a Jarek uznał, że to wagary. Zaczął na mnie krzyczeć. Ja na niego też, a wtedy on uderzył mnie w twarz otwartą ręką. Mama się nie odezwała. Była również taka sytuacja, że się z nim pokłóciłam, nie wiem o co. Wtedy on się zdenerwował, przewrócił mnie i kiedy już leżałam, zaczął mnie kopać. Po całym ciele, za wyjątkiem twarzy. Udało mi się wstać i chciałam uciec na dół

do dziadków. Wtedy popchnął mnie i spadłam ze schodów. Jak wstałam, to mama zobaczyła, że nie trzeba wzywać pogotowia.

Na początku 2006 roku mama Beaty zwierza się przyjaciółce:

– Wydaje mi się, że to gwałtowny człowiek. Brutal.

Agata i Marzena, starsze córki, widzą sine ślady na przedramionach mamy, ale mama tłumaczy, że po prostu ma cienką skórę. Ślady – po latach są pewne – pojawiają się, kiedy Beata spędza weekendy w mieszkaniu na Syberce.

We wrześniu na świat przychodzi pierwsza wspólna córka Beaty i Jarka Joasia. Jarek odwiedza Beatę w Mysłowicach, ale nie jest zadowolony z warunków, w jakich przebywa noworodek. Uważa, że w domu na Ławkach nie jest czysto, a Beata nie dba o córkę tak, jak on by sobie życzył. Zauważa, że dziecko miewa odparzoną skórę, co świadczy o tym, że nie miało na czas zmienionego pampersa. Czuje, że w pokoju palono papierosy. I ogólnie, że mała nie jest lubiana w tym domu.

Ojciec i matka Beaty okazują Jarkowi niechęć. Matka, narzeka Beata, jest na „nie”. Zrzędzi, że jest pięcioro dzieci do odchowania, po co szóste. Dziewczynki wymykają się spod kontroli, uciekają z domu. Chłopcy mają za mało Beaty. Jacek nie skończył jeszcze dziesięciu lat.

Matka nie rozumie, że to miłość, o którą Beata musi teraz zadbać.

Beata lubi jeździć do Będzina. U Eugenii jest spokój, nie ma krzyków dzieci, babcia cieszy się wnuczką, gratuluje, ma ciepłe mieszkanie w bloku. Eugenia nie ma nic przeciwko temu, by Beata z niemowlęciem pomieszkiwała w pokoju obok.

Beata czuje, że może zacząć nowe życie.

Marzena, piętnastoletnia córka Beaty, pamięta tę zmianę.

– Mama powiedziała, że idzie zaszczepić Joasię, i już nie wróciła. Domyśliliśmy się, że jest u Jarka, w Będzinie.

W październiku i listopadzie przyjeżdża do Mysłowic dwa razy w tygodniu, żeby ugotować dzieciom. Taki przyjazd to wyprawa: w Będzinie trzeba złapać autobus 808 do centrum Katowic. Po osiemnastu minutach jazdy przesiąść się

w 76 z alei Korfantego do Wesołej i gnieść się kolejne pół godziny. Z niemowlakiem to kłopot, zwłaszcza że robi się coraz zimniej. Dlatego wizyty stają się rzadsze. Co robić?

Raz na Syberkę przyjeżdżają córki. Chcą zobaczyć, jak mieszka mama. Podobają im się bloki, ale mama nie wpuszcza dziewczyn do mieszkania. Ma nową rodzinę i nie życzy sobie kontaktu z resztą dzieci. Tłumaczy, że mama Jarka też sobie nie życzy.

Pierwsze życie

Pierwsze życie Beaty nie pozwala o sobie całkiem zapomnieć. Mija kilka tygodni od jej wyjścia na szczepienie Joasi. W połowie listopada 2006 roku Agata znów nie wraca z dyskoteki.

Przyprowadza ją policja. Funkcjonariusze musieli dać znać opiece społecznej, bo 15 listopada pracownik socjalny miejskiego ośrodka pomocy społecznej odwiedza mieszkanie na piętrze w Mysłowicach. Nie jest zachwycony.

Notuje: „W mieszkaniu bałagan i brud. Powyrywane wszystkie drzwi od pokoi, w kuchni w kącie metr odpadków. Zwróciliśmy uwagę obecnej akurat Beacie, że musi posprzątać. Beata powiedziała, że zajmie się dziećmi”.

Ale ona wsiada do autobusu do Będzina.

26 listopada do MOPS-u przychodzi pismo ze szkoły w Mysłowicach: „Chcę zwrócić uwagę na trudną sytuację naszych uczniów. Chłopcy (lat 10 i 12) są brudni i opryskliwi. Matka nie mieszka w domu od 6 tygodni”. Dyrektorka szkoły telefonuje do domu Janiny i Mieczysława. Dziadek skarży się, że wnuki lekceważą i babcię, i jego.

Pracownik socjalny wysyła list polecony do Będzina na adres, pod którym może mieszkać Beata. Bez odzewu. Na początku grudnia Beata odbiera telefon. Tłumaczy spokojnie, że trudna sytuacja wynika z postawy ojca i matki, którzy nie akceptują Joasi i jej taty. Były mąż nie interesuje się dziećmi. Beata zapewnia, że przyjeżdża co drugi dzień, a jej dzieci rozumieją powód nieobecności i nie mają nic przeciwko temu.

Mimo uspokajającego tonu Beaty 11 stycznia 2007 roku dyrektor szkoły podstawowej wysyła pismo do sądu rodzinnego w Mysłowicach z prośbą o „załatwienie sprawy chłopców”:

Matka nadal nie zajmuje się dziećmi, nie kontaktuje się ze szkołą. Chłopcy kolędują po domach, chociaż czas kolęd minął. Proszą o pieniądze. Jacka nie było w szkole od 18 grudnia.

Teraz do Roberta i Jacka idzie pedagog szkolny. Widzi sterty brudnych ubrań, resztki jedzenia i odchody psa. Meble i podłoga ze śladami wypaleń, w szafkach puste butelki po alkoholu.

W mieszkaniu jest Agata, najstarsza córka, która nie chodzi do szkoły. Mówi, że matka odwiedziła ich 23 grudnia, wizyta była krótka. Rodzeństwa akurat nie ma w domu, Marzena i Karolina poszły gdzieś z kolegą.

Babcia dzieci mówi, że są one pozostawione bez środków do życia. Karmi wnuków, mimo że odnoszą się do niej niegrzecznie, a czasem wulgarnie. Dziadkowie są schorowani, są wyczerpani psychicznie, nasila się choroba Janiny. Są osamotnieni i potrzebują pomocy w instytucjach.

Tata Beaty precyzuje:

– Chciałbym, żeby dzieci eksmitować i żebym miał spokój. One kopią w drzwi na parterze. Gdy są głodne, to są grzeczne. Jak pojedzą, robią się wulgarne.

Mieczysław dodaje, że ostatnio zjawił się ojciec dzieci z bochenkiem chleba. Ostatnio, bo wcześniej nie.

Pomoc nadchodzi w osobie kuratora sądu rodzinnego, który od razu, bez specjalnych prób negocjacji czy wsparcia rodziny, decyduje, żeby umieścić dzieci w placówkach. Trzy dziewczyny na pewno, bo mają problemy w szkole. Roberta i Jacka też, bo choć ich sytuacja w szkole jest lepsza, to przyszłość może się okazać skomplikowana.

Postanowienie zapada w trybie pilnym, ale co z tego, skoro placówki są przepełnione?

Ani Beata, ani były mąż nie stawiają się na rozprawę, na której sąd ogranicza im prawa rodzicielskie. Szczęśliwie dla szkoły i dla pracownika MOPS-u sprawę braci udaje się odhaczyć już 17 stycznia. Zostają doprowadzeni do Specjalnego Ośrodka Wychowawczego Zgromadzenia Sióstr Boromeuszek w Mysłowicach. Po feriach zmieniają szkołę i kolegów. Idą do podstawówki w centrum miasta.

W sprawie dziewczynek mysłowicki MOPS wysyła uprzejme prośby do sierocińców w Będzinie, Rybniku, Piekarach Śląskich. Siostry udaje się usunąć z domu dziadków dopiero w kwietniu.

Proboszcz z Ławek pamięta sprawę doskonale i ma ogląd, jak mówi, zdroworoższądkowy:

– Dziadek nie ma musu, żeby się opiekować dziećmi adoptowanej córki. Jak mieli nie pójść do bidula, skoro matka nie było, a ojciec wygoniony z domu? Urażony był i nie miał warunków.

W czerwcu 2007 roku przełożona z domu dziecka w Mysłowicach informuje pisemnie urzędników z MOPS-u (sprawozdanie półroczne), że matka odwiedziła synów dwa razy. Na szczęście obaj zdali do następnej klasy, z tym że odkąd Robert trafił do ośrodka, przestał rosnąć i będzie na stałe brał leki. Ojciec nie zgłosił się ani razu, w związku z czym chłopcy nie pojechali na kolonie za granicę – nie udało się wyrobić paszportu.

Dziewczynki natomiast trafiają do ośrodka w Katowicach i przysparzają nowym opiekunom więcej kłopotów. Najstarsza po raz kolejny nie zdaje do następnej klasy, opuszcza 150 godzin lekcyjnych. Średnia – 128. Najmłodsza – na razie tylko 64. Siostry zakonne martwią się, że starsze siostry demoralizują młodszą. Kierownictwo ośrodka proponuje rozdzielenie dziewczynek.

We wrześniu 2007 roku sąd rodzinny w Mysłowicach pozbawia Beatę i Wieśka praw rodzicielskich. Nie przychodzą na rozprawę.

Średnia córka zostaje przeniesiona do trzeciego sierocińca. Od razu ucieka do dziadka do Mysłowic. Śpi w garażu, tak że nikt z domowników się nie orientuje.

Jeśli Beata kontaktuje się z dziećmi, to znaczy, że ma problemy. Na przykład chce, by dzieci w jej imieniu poprosiły dziadka o pożyczkę.

Wiosną 2008 roku tyska przyjaciółka odwiedza w Mysłowicach chorą matkę Beaty. Janina ma krwotoki, jest słaba. Przede wszystkim zdruzgotana, że Beata zostawiła tyle dzieci bez przyszłości.

Mama Beaty nie ma kontaktu z córką, bo Mieczysław nie pozwala jej na stres ze względu na chorobę.

Rozzalenie rodziców postawą Beaty jest tak głębokie, że jesienią postanawiają ją wydziedziczyć. Pozbawiają ją prawa do pierwszego piętra. Zajmie je wkrótce syn zastępczy i jego narzeczona, która troskliwie opiekuje się przyszłymi teściami. W ten sposób do mieszkania na piętrze traci prawo również piątka dzieci Beaty. Kiedy opuszczą sierocińce, nie będą miały dachu nad głową.

W 2008 roku kierownicze domu dziecka w Mysłowicach udaje się namówić Beatę, żeby znów przyjechała odwiedzić chłopców. Na starsze córki Beata nie ma czasu, bo planuje przeprowadzkę. Zresztą jest w siódmej ciąży.

W kwietniu 2008 roku na świat przychodzi Szymon. Jego siostrzyczka Joasia ma już dwa lata.

Rok później rodzą się także pierwsze dzieci córek Beaty: najpierw średniej, potem najstarszej, na końcu najmłodszej.

Rodzina się rozrasta.



Szymon

Beata zapewnia, że był chciany, chociaż siódmą ciążę długo ukrywa przed starszymi córkami. Natomiast Jarek kopiuje zdjęcia z USG i biegnie pochwalić się matce.

Szymon jest wcześniakiem. Rodzi się w dwudziestym piątym tygodniu ciąży przez cięcie cesarskie w szpitalu w Sosnowcu i prawie umiera. Dostaje cztery punkty w skali Apgar, ponieważ nie oddycha samodzielnie. Lekarze od razu zakładają mu respirator i wysyłają noworodka do szpitala akademickiego. Dostaje infekcji, która z godziny na godzinę się pogłębia, aż dochodzi do sepsy.

Beata widzi synka po tygodniu. Leży w inkubatorze i wydaje się, że nie przeżyje. Ale przeżywa.

Z OIOM-u chłopiec jedzie na oddział w szpitalu w Sosnowcu. Lekarze zalecają częste wizyty kontrolne.

Beata przywozi dziecko na wizyty zgodnie z planem. Terminów pilnuje Jarek. Po miesiącu lekarze oglądają niemowlę i są zadowoleni. Ze względu na chorobę i wcześniactwo modyfikują kalendarz szczepień i tłumaczą rodzicom, że na razie chłopczyk będzie się rozwijał wolniej. Trzeba dbać, by przybierał na wadze.

Kiedy Szymek leży w szpitalu, Jarek kończy remont nowego mieszkania. W grudniu zmarła babka z Piłsudskiego, administrator kamienicy wyraził zgodę, aby lokal wynajęli Jarek z konkubiną. W tym samym domu mieszka bowiem od urodzenia także wujek Wiesław. Regularnie płaci czynsz, spędza czas przed telewizorem, jest chodzącą rekomendacją dla bratanka.

Koleżanki z pracy widzą, jak Jarek martwi się o dom i troszczy o Beatę. Na przykład biega do sklepu spożywczego, bo Beata ma zachcianki.

Szymon przyjeżdża na Piłsudskiego w połowie maja. W nowym mieszkaniu Beata patrzy na syna. Bardzo delikatny. Ma cienką skórę i trzeba na niego

uważać, bo jak się nie uważa, to zaraz pojawia się siniec. Płacze z byle powodu.

Jarosław ocenia: płaczliwy, ale spokojny. Można powiedzieć, że się nie narzuca. Gdy zjada, na skórze brzucha pojawiają się cieniutkie żyłki.

W czerwcu Wiesław i jego konkubina Czesława schodzą do bratanka obejrzeć syna i wyremontowane mieszkanie. Wizyta jest kurtuazyjna, ponieważ wuj z bratankiem nie mają bliskich relacji. Nie mieli jak wypracować.

Wiesław to domator – nie wychodzi z domu, raczej nie kontaktuje się z sąsiadami, nie jest też gościnnie. Można powiedzieć: to człowiek prywatny, podobnie jak Jarosław. Kiedy mijają się na korytarzu, nie wymieniają sąsiedzkich ani rodzinnych uwag. Konkubina martwi się, że to ona stoi na drodze relacji rodzinnych, ale Wiesław odwarkuje, że zawsze tak było: z Jarkiem i jego siostrą, i ich matką. Każdy żyje dla siebie, co z tego, że piętro wyżej.

Kiedy więc przychodzą, Szymek leży w wózku, Joasia na łóżku, mieszkanie jest czyste, rozmowa się nie klei. Jarosław nie nawiązuje rozmowy, nie ma wspólnych tematów, bo panowie właściwie się nie znają. Beata wygląda na spiętą. Następnej wizyty już nie ma. Czesława, konkubina wujka, widzi Szymona pół roku później, kiedy Beata przychodzi z nim na górę pożyczyć dwadzieścia złotych.

Nowego Szymka i mieszkanie po babci ogląda też siostra Jarka, podczas jedynej wizyty u brata. Rodzice szukają chrzestnych dla małego, ale ona odmawia. Bycie chrzestną zobowiązuje. Na przykład do kupienia prezentu.

Najczęściej odwiedza ich Eugenia, mama Jarka. Z Syberki na Piłsudskiego jedzie się dziesięć minut, trzy krótkie przystanki autobusowe.

Od września 2008 roku jest też stałą opiekunką dzieci. Bawi Szymona i Joasię nawet pięć razy w tygodniu między szóstą a wpół do trzeciej. Beata wychodzi do pracy albo na zakupy.

Szymon siedziałby i siedział na kolanach babci. Za często – ocenia Eugenia – to on się nie śmieje. Kiedy babcia obserwuje rodzinę swojego syna, pewnie jest zadowolona. Jarek mówi do Beaty „Beciu”. Widać, że się stara.

Nie spożywają w nadmiarze alkoholu. Mają co prawda problemy finansowe, ale Eugenia pomaga, jak może. Jarkowi sporadycznie zdarza się też huknąć na matkę. A jeśli, to tylko słownie. Nie brzydzi się sprzątaniami, zwłaszcza że lubi, jak jest czysto.

Syn – uważa Eugenia – osiągnął stabilizację.

Niestety, to przy babci zaczyna się kłopot z rączką Szymona. Eugenia sięga do łóżeczka, chwytając chłopca za ręce, chce go wyjąć, a on ryczy. I to jak! Mówi Jarkowi, gdy ten wraca z pracy.

Jarek unosi się, krzyczy, ale zawozi chłopca do Centrum Pediatrii w Klimontowie. Lekarz nie wyklucza, że babcia mogła wyrwać rączkę. Ale nie na pewno. Może zresztą któreś z rodziców.

W każdym razie 2 stycznia 2009 roku w szpitalu odnotowano, że z powodu urazu kości lewego przedramienia założono Szymkowi szynę gipsową, a po dziesięciu dniach zdjęto. Jednak po badaniach kości, krwi i wagi dziecka wystawiono skierowanie do poradni onkologicznej. Szymek trafił do szpitala w Katowicach-Ligocie. Badano go przez miesiąc.

Pani dyrektor w ośrodku kształcenia kadr w Będzinie reaguje ze współczuciem na kłopoty Szymusia. Pozwala Jarkowi używać służbowego samochodu na trasie do Ligoty, przyznaje celową zapomogę. Koleżanki z ośrodka zazdroszczą Beacie empatycznego partnera. Nieba by mu przychyliły.

Koleżanka z pracy:

– Kiedy zwolniło się u nas miejsce pracy na stanowisku sprzątaczką, Jarek zaproponował, że przyprowadzi żonę. Pracowała u nas kilka miesięcy, ale nie była solidna i wpływały na nią skargi.

Na Jarka żadnych skarg nie ma.

Szymek jest znów w domu, ale Beata nie wraca do pracy, ponieważ jest w ósmej ciąży.

Babcia Eugenia nie musi przychodzić regularnie, ale odwiedza wnuki przynajmniej trzy razy w tygodniu. Podrosły, różnią się temperamentem.

Joasia – wulkan energii. Szymek – wycofany. Po powrocie ze szpitala uczy się chodzić, ale głównie pełza na kolanach.

Jednego dnia – w kierunku prysznicza. Akurat bawi się nim Joasia. Podnosi uchwyt, a ponieważ leje się gorąca woda, Szymek jest poparzony i wystraszony. Wyje. Od tego czasu boi się kąpać. Płacze, gdy tylko zapowiada się wieczorne mycie.

Siostra Szymka nie lubi, jak rodzice zajmują się jej bratem, więc też udaje, że nie umie chodzić.

Eugenia widzi, że wnuki rozwijają się w różnym tempie. Joasia – sprawna i elokwentna. Szymek – ze względu na wcześniactwo trochę ofiara losu, niezgrabiasz.

– Jak mu butelka z ręki wypadnie, to nie podniesie. Trzeba za nim ganiać i podawać – mawia o nim Jarek.

Marzena, przyrodnia siostra Szymka, widuje brata sporadycznie (doliczy się, że dwa razy), ale też ma obserwacje. Joasia – oczko w głowie tatusia. Szymon – często upominany. Od matki dostaje po łapach, kiedy ssie palce. Od taty w pupę, gdy nie wykonuje poleceń. Oczywiście Joasia też czasem dostaje. Zdarza się, że Jarek pociągnie ją za włosy, gdy jest niegrzeczna.

Młodszy od Szymona syn Marzeny nie ssie już paluchów. A Szymon swoje.

Co do innych trudności Szymona, Marzena obserwuje kłopoty z nocnikiem. Rodzice stawiają nocnik w łazience, sadzają Szymona i nie wypuszczają, dopóki nie zrobi. Siedzi zamknięty, biegunka nie biegunka. Czasem od tego siedzenia ma odciski na udach.

Są też wesołe momenty, kiedy Szymon jest zadowolony. Pokazuje, że umie robić przewrotki na łóżku. Dostaje potem w pupę, bo nie chce wyjść z pokoju.

Druga wizyta Marzeny kończy się kłótnią o ojca jej dziecka. Beata i Jarek uważają, że chłopak jest nieodpowiedni. Notowany przez policję, ze skłonnością do przemocy po alkoholu. Beata od dawna esemesuje, żeby go pozwać o alimenty i odejść; ale Marzena jakoś nie potrafi się rozstać. Trzasnąwszy drzwiami, kończy wizytę na Piłsudskiego.

W lipcu 2009 roku ciągnie się sprawa z rączką. Jarek i Beata zgłaszają się z Szymkiem do sosnowieckiego szpitala. Lekarz ogląda rączkę, potem resztę ciała, a następnie prosi Beatę na rozmowę do gabinetu, Jarosław ma zostać na korytarzu. Po półgodzinie on z kolei zostaje wezwany, a Beata z Szymonem na rękach wychodzi na korytarz.

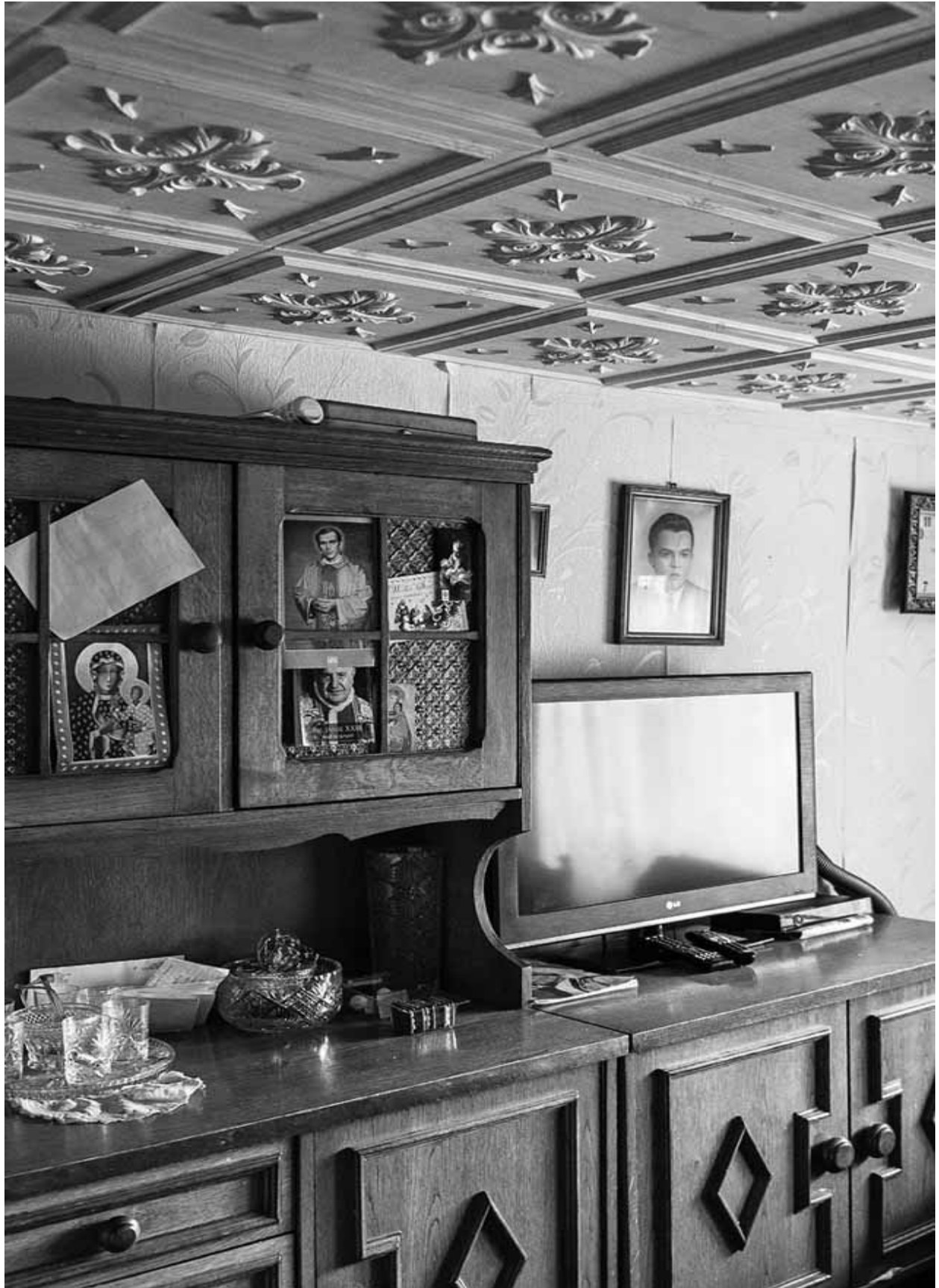
Każdemu z osobna lekarz zadaje pytania. Między innymi:

„Czy w procesie wychowania stosujecie wobec dziecka przemoc fizyczną?”

„Absolutnie nie” – odpowiadają zgodnie rodzice.

Z łatwością potrafią wyjaśnić obecność siniaków na twarzy i na głowie. Lekarz notuje, że obrażenia mogą wynikać z przemocy wobec dziecka, ale również z innych przyczyn. Bo jest to okres, w którym dziecko rozpoczyna chodzenie, poznawanie świata.

Sytuacja nieprzyjemna, ale w końcu wracają do domu.



Czteroosobowa rodzina na drugim piętrze nie budzi emocji wśród sąsiadów. Nie rzuca się w oczy. Beaty by człowiek nie zapamiętał. Jarek wychodzi do pracy i wraca. Tyle.

Muzykę czasem puszcza głośno, ale tylko w weekendy i jeśli ktoś wrzaśnie, to zaraz ścisza. Mieli psa, nierodowodowego wilczura. Wył jak rasowy wilczur, bo mało wychodził. Już nie wyje. Podobno Beata wywiozła go gdzieś na działki, do Mysłowic.

Dzieci raczej nie wychodzą na spacer, nie widać ich na podwórzu.

Grażyna i jej mąż mieszkają po przeciwnej stronie podwórka „studni”. Balkon w balkon. Niewiele widać, bo ciągle zamknięty, ale jednak ma się świadomość bliskości. W lecie 2009 roku, podczas porannego papierosa na balkonie, Beata zaprasza starszych sąsiadów na kawę. Ci przynoszą słodycze i jogurty.

Szymek siedzi na wersalce i chętnie zjada danonka. Potem idzie do drugiego pokoju, kładzie się na łóżku i leży. Sam, nie płacze. Nie domaga się uwagi jak siostra. Na wyraźne zdziwienie Grażyny rodzice tłumaczą, że jest nad wyraz spokojnym dzieckiem. Poza tym boi się obcych.

Grażyna podtrzymuje konwersację.

– Ty, Beatko, też taka byłaś?

Beata odpowiada, że była adoptowana i że w rodzinie było jej niedobrze. Teraz jest dobrze.

Czesława, konkubina wujka Wieśka, widzi trzecią ciążę Beaty i zagaduje o to, gdy Beata przychodzi na górę pożyczyć drobne. Nie ma nic przeciwko dzieciom, ale jak są problemy finansowe, to dziwne, że trzecie w drodze.

– Jak ty pracę znajdziesz, Beata? Jak już znajdziesz, to cię wyrzucą.

Beata nie wydaje się Czesławie przejęta. Nie tłumaczy też, że to jej ósma, a nie trzecia ciąża. Schodzi do swojego mieszkania i zatraskuje drzwi.

Basia przychodzi na świat w październiku 2009 roku. Pięciosobowej rodzinie przysługują dodatek z tytułu wielodzietności oraz dopłata do czynszu ze względu na niskie zarobki. 30 października Beata składa wniosek

o świadczenia rodzinne. Koledzy z pracy Jarka przynoszą łóżeczko i rowerek po swoich dzieciach.

Jeśli chodzi o pierwsze życie Beaty, objawia się ono od czasu do czasu w osobach córek. W 2009 roku Agata kończy dziewiętnaście lat, Marzena osiemnaście, Karolina szesnaście. Co parę miesięcy przyjeżdżają na kilka godzin do Będzina. Agata najczęściej, Karolina najrzadziej. Nie pozwalają mamie o sobie zapomnieć.

Karolina po raz kolejny nie otrzymuje promocji do trzeciej klasy gimnazjum. Nie pokazuje się w szkole. Czas zajmują jej nowe znajomości. Jesienią okazuje się, że jest w ciąży. Nauczycielka w domu dziecka proponuje szkołę zawodową dla pracujących. Na razie urlop dla podreperowania zdrowia.

Chłopcy, piętnastoletni Robert i trzynastoletni Jacek, nie chcą widywać ani matki, ani jej konkubenta. Zawianego ojca widują przy sklepie na Ławkach. Weekendy i wakacje spędzają u dziadka. Mają tam wolność i brak rygorów, bo dziadek jest zajęty umierającą babcią. W końcu karetka zawozi ją do hospicjum. Do końca pozostaje świadoma.

Przyrodni brat Beaty drugi raz powtarza klasę. Agata pracuje dorywczo w sklepie. Marzena w barze, poza tym wciąż zmaga się ze swoim własnym konkubentem. W styczniu 2010 roku pisze do Beaty esemesa, że ją uderzył.

„Odejdź – znów odpisuje matka – zanim będzie za późno”. Jarek też tak uważa. Jeszcze tego samego dnia jedzie do „Meksyku” (okolicy Mysłowic o złej reputacji), żeby wywieźć z mieszkania Marzenę i jej synka. Przywozi ich do Będzina, mieszkają razem trzy dni. Wtedy Marzena po raz ostatni widzi najmłodszego brata.

Nie zauważa, żeby Szymek był specjalnie bity, chociaż jego siostry boją się Jarka, który jest surowy i lubi porządek. Marzena widzi tylko, że Szymek częściej płacze. Nie pyta mamy dlaczego. Oni też płakali, a mama nie widziała.

W grudniu 2009 roku po kontroli pediatrycznej Szymek trafia do szpitala. Nie przybiera na wadze tak, jak powinien. Beata tłumaczy: co zje, to wydała.

Szpital zaleca kolejne kontrole.

Pod koniec roku Beata siedzi z trójką dzieci i zaczyna narzekać na nadmiar obowiązków. Dzieci ją denerwują, czasem nie wytrzymuje.

– Ty gnoju, rusz się szybciej!

– Co, kurwa, robisz, idiotko?!

Jarek mówi jej wtedy, żeby nie zwracała się opryskliwie do wspólnych dzieci:

– Tak się możesz odnosić do tych z twojego poprzedniego związku.

Zawsze ma być tak, jak chce Jarek. Konkubent denerwuje się, kiedy ona spóźnia się pięć minut. Albo kiedy szklanka zostawiona przy zlewie, albo kiedy Joasia nie słucha. Denerwuje się, pociągnie którąś za włosy, ale zaraz zachowuje się, jakby nigdy nic.

Beata skarży się na Szymona, że się ciągle drze i co sąsiedzi pomyślą, że ona z nim robi. Że ciągle siedzi na nocniku. Jak nie zacznie do niego srać, to ona już nie wie.

Na szczęście dla Beaty jest Eugenia, mama Jarka. Przychodzi w tygodniu odciążyć swoją Beatkę. Zwłaszcza Szymon bardzo się cieszy i wdrapuje się na kolana. Kiedy babcia wychodzi – jest smutny. Od razu tęskni.

W lutym potrafi powiedzieć proste wyrazy. Sprawnie chodzi, ale nie biega. Pozostają kłopoty z nocnikiem.

Nienachalny (z wyjątkiem płaczliwości) charakter Szymona oraz rutynowa egzystencja w kamienicy sprawiają, że rodzicom trudno po latach odtworzyć pierwsze kilkanaście miesięcy życia swojego syna. Wyjątkiem jest pięć dni, 23–27 lutego 2010 roku, o które po latach wciąż będą pytani.

We wtorek 23 lutego Beata spotyka w Biedronce sąsiada, wujka Wiesława, który wiedząc o problemach finansowych bratanka i jego konkubiny, płaci za zakupy Beaty. Do koszyka dorzuca jej egzotyczny owoc, pomelo, którego wcześniej Beata na oczy nie widziała. Prócz tego pampersy Dada, kurczaka, bułki i ptasie mleczko, które lubi Jarek. Ale począwszy od środy, każde z rodziców pamięta następne dni inaczej.

Według ojca

W środę rano Beata otworzyła owoc od wujka. Smakował małemu, więc zjadł sam prawie cały. Przysięgała, że obrała ze skóry.

Z Syberki przyszła matka Jarka, żeby Beata mogła pójść do MOPS-u po zasiłek. Przed wyjściem dała małemu kawałek udka z kurczaka. Ale wieczorem był marudny i miał podkrążone oczy. Beatę bardzo wkurwiało, jak marudził. A że był marudny, mówiła do niego „bucu”. Tylko przy obcych Szymuś albo Jasio.

Zaczął się w czwartek, kiedy on kąpał Joasię. Widział kątem oka, jak w środkowym pokoju ona rozbiera „buca” do kąpieli. Zdjęła mu pampersa. Chyba zobaczyła kupę. W każdym razie była wkurzona.

– Kurwa, ja pierdołę, ty leniu śmierdzący – powiedziała. – Znowu żeś się zesrał.

Chodziło o to, że wciąż nie siada na nocniku. Beata wymierzyła mu klapsy w pupę i Szymek się rozplakał. To ją rozjuszyło, więc ścisnęła mu dwoma rękami buzię, żeby się zamknął. Szymek wciąż leżał na kanapie; nie ma pewności, czy już z nowym pampersiem, czy jeszcze ze starym.

Jarek powiedział jej, że jest pojebana i żeby go puściła. Puściła, ale Szymon ubrudził jej rękę glutami z nosa, wiercił się i zaczął się zsuwać z kanapy. Wtedy, wkurzona, uderzyła go pięścią w brzuch, słyszał odgłos. Po tym to już Szymon zaczął krzyczeć, jakby go ze skóry obdarła.

Krzyknęła do dziecka, żeby spierdalało do łazienki. Po kilkudziesięciu minutach się uspokoił. Dostał butelkę, to zasnął.

W piątek w pracy Jarek dostał od niej wiadomość, że mały tylko siedzi, nie chce jeść i źle się czuje.

Gdy wrócił, syn jak zwykle siedział na nocniku. Płakał i nie chciał jeść. Może przez ten owoc? No to, pomyślał, powinien zwymiotować, więc przygotował wodę z solą. Podał synowi. Po drugiej porcji Szymek

zwymiotował żółć, były w niej jakieś włoski. Jarek pomyślał, że to fragmenty owocu.

Powiedział Beacie, że musi pójść do lekarza, ale nie zareagowała. Widział te sińce na buzi syna po palcach Beaty i zrozumiał, dlaczego nie spieszy się do przychodni. Znowu by się przypierdalali, że jest szarpany.

Syn zasnął normalnie, chociaż nie jadł cały dzień.

W sobotę rano Jarek poszedł na zakupy. Kiedy wrócił, dzieciak siedział na dywanie przed fotelem. Jarek kazał mu wskakiwać na fotel. Nie chciał, przymykał tylko oczy, ale nie spał.

Potem przyszła z Syberki matka. Narzekała cały czas, że taki dzień, że cały czas tylko by płakała. Jarek nie chciał, żeby oglądała Szymona z tymi sińcami, więc powiedział, żeby nie wchodziła do pokoju.

Rozmowa się nie kleiła, za jakiś czas poszedł do dzieci. W tym samym pokoju co Szymek spała Joasia. Leżał na plecach, oczy miał półotwarte. Jarek potrząsnął nim trochę, ale się nie poruszył.

Wrócił do pokoju i powiedział:

– Beata, idź przykryj Jaśka. – Chciał, żeby sama zobaczyła, co zrobiła.

No i żeby matka wyszła. W tym celu przestał się do niej odzywać. Pożegnała się po dziesięciu minutach, a Jarek wrócił do pokoju Szymka. Znow zaczął ruszać małego, ale jego oczy pozostały martwe.

Odepchnął ją od łóżka. Wtulił się w Szymona i zaczął, jak pamięta, płakać. Krzyknął na nią, że trzeba po karetkę, ale się sprzeciwiła, powiedziała, że jak lekarz zobaczy sińce na twarzy, to powie, że my go pobili i zabili. Na prawym boku miał siną plamę wielkości dłoni mężczyzny.

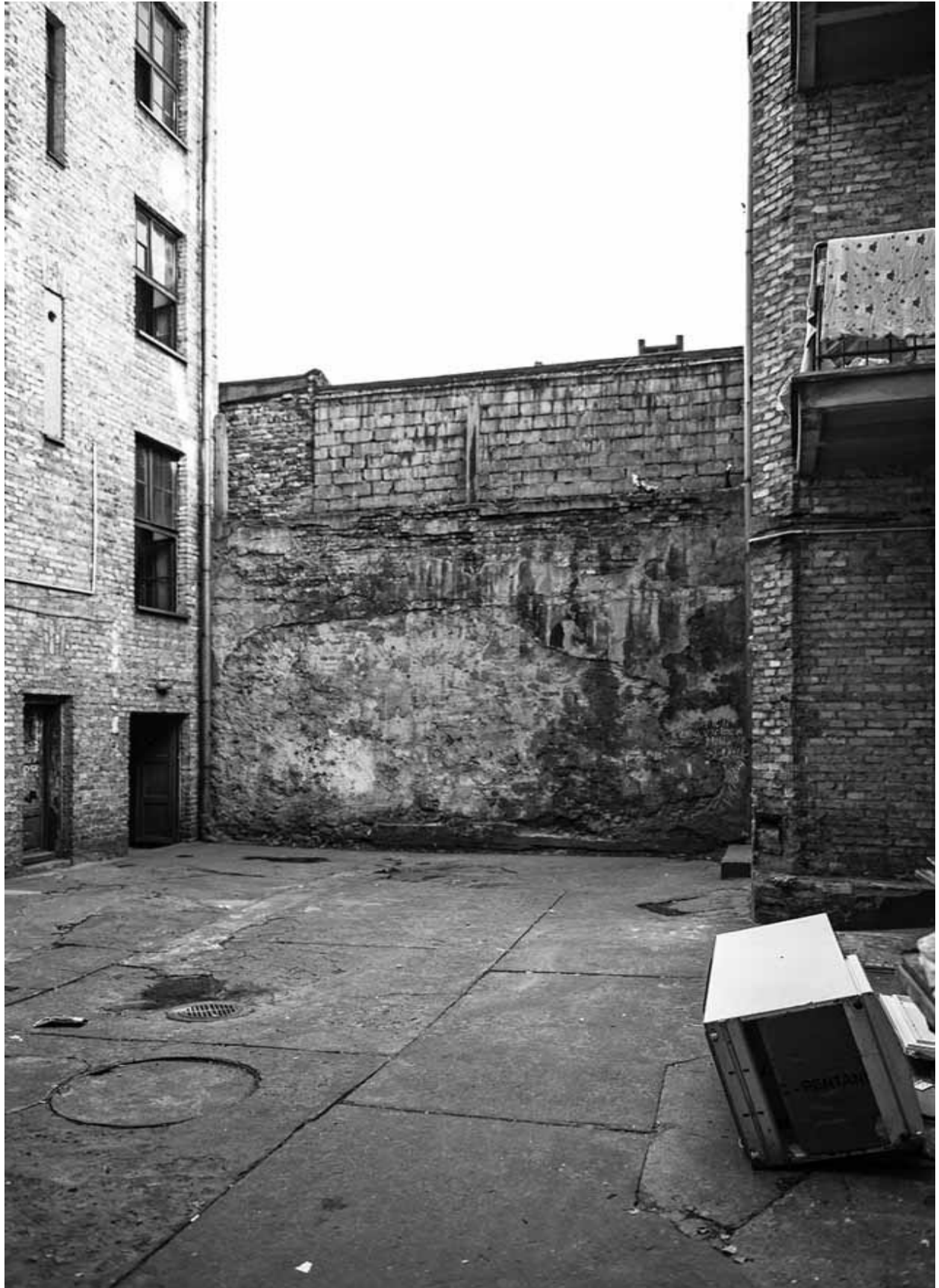
Nie wiedział, co robi. Powiedział jej:

– Przynies najlepsze, najładniejsze rzeczy. Dla Szymusia.

Ubrał go w nowego pampersa, białe body, rajstopy, spodnie bojówki ciemne, czerwoną kurtkę, rękawiczki z jednym palcem. Eleganckie, piszczące przy naciśnięciu. Nosił go jak śpiące, kochane dziecko. Był zdruzgotany. Powiedział tylko:

– Zabiłaś mojego syna.

Wiedział, że teraz trzeba będzie podjąć jakieś ważne decyzje.



Według matki

Beata pamięta, że w środę 24 lutego Jarosław wrócił zdenerwowany z pracy. Szymon płakał.

– Dziecko – powiedziała mu od razu – źle się czuje.

Jarek kiepsko znosił złe samopoczucie Szymona.

– Kurwa, siadaj na łóżku, gnoju – powiedział do syna, ale ten nie usiadł.

Jarek podszedł, przyklęknął, chwycił go za barki, potrząsał, krzyknął, żeby się wreszcie uspokoił. Szymek się wystraszył, płakał jeszcze bardziej.

Następnie Jarek chwycił dłonią buzię Szymona, zaciskając palce na policzkach, nie zasłaniając mu ust, w ten sposób, że kciuk znajdował się na jednym policzku, a cztery palce na drugim policzku dziecka. Zdarzało się, że w ten sam sposób uspokajał córkę Joasię. Beata podeszła, żeby zabrać syna, ale została odepchnięta, w wyniku czego uderzyła się o ścianę. Jarek poprosił, by zajęła się Joasią, która też zaczęła płakać. Zarzucał Beacie, że podważa ojcowski autorytet. Gdy Beata wyszła z Joasią, usłyszała jeszcze głośniejszy płacz chłopczyka. Weszła do pokoju. Jarek odchodził od dziecka. Powiedział, żeby teraz ona zajęła się Szymonem.

Kiedy Szymon się trochę uspokoił, Beata zaczęła sprawdzać ciało. Na ramionach i buzi syna zauważyła czerwone plamy pochodzące od palców Jarka. Kiedy zmieniała pampersa, zauważyła odbitą dłoń na boku pleców, tam, gdzie nerka.

Po kąpieli Jarek kazał przynieść maść na skaleczenia i smarować zaczerwienione miejsca. Beata posmarowała więc buzię, ramiona i plecy. Kiedy smarowała, plamy robiły się sine.

Tego dnia Szymon nie chciał zjeść kolacji. Wypił tylko mleko.

Kiedy Jarek w czwartek wychodził do pracy, przekazał Beacie, by często smarowała ślady na ciele. Powiedział też, że zadzwoni do matki, by nie przychodziła. Szymek był marudny, nie chciał się bawić z siostrą. Kiedy do

niego podchodziła, zaczynał płakać. Plamy jeszcze bardziej zsiniały. Znów nie chciał jeść, tylko wypił trochę mleka.

W piątek czuł się jeszcze gorzej. Nie miał apetytu. Kiedy kazała mu zjeść śniadanie, zaczął płakać. Chciał być noszony na rękach. Miał biegunkę.

Jarek wrócił o piętnastej. Stwierdził, że to skórka dziwnego owocu przykleiła się do żołądka. Po południu przygotował roztwór soli kuchennej, a następnie użył strzykawki po nurofenie. Nabrał pięć mililitrów, podał dziecku. Szymon się rozpłakał, nie wymiotował. Jarek wstrzyknął mu do gardła następną strzykawkę. Szymon trochę się bronił, więc Jarek rozszerzył mu usta, wbijając dwa palce między szczękę a żuchwę. Wtedy wymiotował. Beata położyła go na łóżku.

W nocy z piątku na sobotę Szymek nie spał. Budził się i płakał. Beata słuchała płaczu, ale nie był on tak silny jak ten w środę. Płakał i kulił się na rękach Beaty. Nogi przy brodzie. Nie pozwalał wyprostować.

W sobotę od rana płakał, nie chciał jeść ani pić. O ósmej rano, płacząc, zszedł z łóżka, podszedł do komody, zaczął krzyczeć.

To nie był płacz, tylko krzyk.

Beata zawołała, żeby podszedł, ale nie chciał. Jarek się zdenerwował. Co to znaczy, że nie będzie słuchał?! Wstał z łóżka, podszedł do Szymona, klęknął przed nim na jednym kolanie, chwycił za ramiona i zaczął potrząsać. Powiedział Beacie, że robi porządek, bo dziecko przesadza z płaczem. Chwycił go za buzię, ale Szymon płakał dalej. Lewą ręką przytrzymał za prawe ramię, a prawą uderzył pięścią w okolicy brzucha. Szymon skulił się, ale nie przestał płakać.

Jarek poszedł do łazienki zapalić papierosa.

Po tym uderzeniu Szymek miał rozciętą wargę, krew spływała na podłogę. Ale zmęczył się i zasnął. Beata położyła go obok Joasi. Było jeszcze wcześniej. Jarek, już spokojniejszy, umył podłogę. Zaraz miała przyjść babcia.

Zapukała o dziesiątej. Przyszła z zakupami. Chciała jak zwykle przywitać się z wnukami, ale Jarek powiedział, że ma nie wchodzić. Mogłaby zobaczyć sińce na twarzy Szymonka.

Jarek nie był rozmowny, wołał, żeby matka szybciej wyszła. Jeszcze kiedy była, Beata weszła do pokoju zobaczyć, czy dzieci śpią. Szymon leżał w tej

samej pozycji, w której go zostawiła. Potem Jarek polecił, żeby poszła do sklepu po węgiel, wróciła zaraz z dziesięcioma kilogramami, teściowa akurat wychodziła. Nie zdążyła się pobawić z wnukami.

Weszli do pokoju Szymka. Leżał na wznak z półprzymkniętymi oczami. Już nie żył. Jarosław jeszcze położył dziecko na podłodze, zaczął przyciskać kolana dziecka do klatki piersiowej, ale szybko stwierdził, że to nic nie da. Położył je do łóżka.

Podróż Szymona

Co do tej podróży, pamięć rodziców jest niemal zgodna. Spór dotyczy tylko wezwania pogotowia.

Beata mówi, że to ona chciała wezwać karetkę, a Jarosław był przeciwny. Tłumaczył jej, że ze względu na ślady pobicia pójda siedzieć za zabójstwo. Dwadzieścia pięć lat. Już nigdy nie zobaczą córek.

Jarek pamięta z kolei, że to on chciał wezwać pomoc, a ona mówiła, że chyba jest pojebany. I pod jej argumentem ustąpił.

W każdym razie po południu zapalają papierosa i myślą, co robić. Przewijają Basię, Joasia bawi się w drugim pokoju. Pomysły ma Jarosław.

Pierwszy, żeby pójść z wózkiem do sklepu Real, dać się nagrać na kamery przemysłowe, po czym po wyjściu ze sklepu upozorować porwanie. Wezwać policję, rodzinę, płakać. Słabym punktem jest realizacja. Beata od razu mówi, że nie da rady. Jarek proponuje, żeby spalić ciało w piecu, który znajduje się w kuchni. Albo замуrować. Dla Beaty te pomysły są zbyt ekscentryczne.

Późnym popołudniem decydują się wywieźć Szymka i wyrzucić. Po siedemnastej zaczynają przygotowania.

Tak się dobrze składa, że Jarek ma kluczyki do służbowego samochodu, który stoi na parkingu pod ośrodkiem kształcenia kadr w Będzinie. Pojadą wszyscy, to oczywiste. Ale żeby zabrać ze sobą Joasię i Basię, muszą szybko zorganizować foteliki. Przypadkowa kontrola policji może się skończyć tragicznie, jeśli psy zajrzą do bagażnika. Beata przypomina sobie, że foteliki dla dzieci ma koleżanka z byłej pracy. Dzwoni. Koleżanka godzi się pożyczyć, ale każe zwrócić jeszcze tego samego wieczora. Konieczny jest pośpiech.

Beata wchodzi do pokoju Szymka, żeby przygotować ubrania dla dziewczynek i dla syna. Wtedy dzwoni jej telefon. Beata nie wie, czy odebrać. Odbiera. Marzena, córka, mówi, że w sobotę w hospicjum umarła matka Beaty.

Beata nie może długo rozmawiać z córką.

– Stara pociągnęła za sobą dziecko – rzuca do Jarka.

Jarek wychodzi po samochód, wraca o dwudziestej. Zaczyna ubierać syna. Trochę to trwa, bo syn bezwładny, nie pomaga w ubieraniu, więc Jarek trochę się szarpie. Kiedy kończy, daje znać Beacie, żeby przeszła przez pokój z Joasią. Zasłania sobą Szymka, żeby się córka nie przyczepiła, że brat jest blady i nieruchomy. Basia śpi.

Jarek otwiera okno, skręca kaloryfer i wyjmuje z szafy ciemną torbę po łóźeczku turystycznym. Wkłada do niej Szymona. Z kuchni bierze jeszcze puste reklamówki foliowe. Wychodzą z domu przed dwudziestą pierwszą. Jarek za rękę z Joasią i z torbą z dzieckiem na ramieniu. Beata z Basią w wózku. Idą na parking przy Modrzejewskiej. Niecałe sto metrów. Szymek do bagażnika, dziewczynki na tylną kanapę. Koleżanka z fotelikami mieszka nieopodal. Kiedy pukają, Beata tłumaczy, że jadą do umierającej matki.

Wyjeżdżają z Będzina. Na razie nie wiedzą dokąd.

To Jarek wybiera w końcu Cieszyn. Przypomina sobie stawy z czasów, gdy rozwoził lody Algida i kiedy przez chwilę pracował w zakładzie pogrzebowym. Jeździł do Polifarbu po lakiery do malowania trumien.

Po godzinie są już na Wiślańskiej. Parkują na podjeździe jednego z domów jednorodzinnych. Zapalają papierosa, Jarek decyduje, że to Beata pozbędzie się dziecka, ale najpierw podaje jej dwa worki i każe założyć na buty. Zero naniesionego błota, zero śladów butów do zidentyfikowania przez ewentualnych śledczych. Uprzedza, by nie wyrzucała niedopałków.

Kiedy Beata się opiera, Jarek przypomina o wyroku. Nie mogą ryzykować. Beata wyciąga ciało Szymka z bagażnika i biegnie na drugą stronę ulicy w kierunku stawu Mewa. Jarek włącza reflektory, żeby się nie potknęła.

Martwy Szymon wydaje jej się cięższy niż żywy. Kiedy go niesie, czuje opór, a gdy chce poprawić, to się nie daje, bo jest już sztywny. Przytrzymując się gałęzi, schodzi nad staw i wyrzuca dziecko. Widzi, że ułożyło się na wznak. Jedna rączka wzdłuż ciała, druga uniesiona. Z jednej zsunęła się rękawiczka. Cholera, nie może jej odnaleźć.

Jest dwudziesta trzecia, kiedy wracają do Będzina. Beata biegnie z fotelikami, przyjmuje wyrazy kondolencji z powodu śmierci matki, Jarek

parkuje auto pod zakładem pracy. Piechotą wracają do domu. Joasia za rączkę,
Basia w wózku. Zasypiają przed pierwszą w nocy.

Są wykończeni.



Drugie życie Szymona

W niedzielę 28 lutego rano zastanawiają się, jak zaplanować najbliższe dni. Jest oczywiste: załatwić najpotrzebniejsze rzeczy, a potem jak najmniej ruszać się z domu.

Wieczorem Joasia po raz pierwszy pyta o małego brata. Zawsze był obok, a jakoś go nie ma. Odpowiadają, że kiedy spała, przyszedł dziadek i zabrał Szymka do siebie. Mają na myśli ojca Jarosława, który nie żyje od dekady.

W poniedziałek Beata biegnie do izby skarbowej oddać kluczyki i dokumenty służbowego forda. Wyjaśnia, że Jarek zachorował.

Dzwoni do przychodni na Syberce, gdzie zarejestrowany jest Szymon. Na 1 marca mieli wyznaczony termin szczepienia chłopca. Mówi, że nie może się zgłosić ze względu na pogrzeb matki za granicą.

W tym czasie Jarek dzwoni do swojej matki, żeby nie przychodziła, ponieważ wyjechali do Mysłowic pożegnać matkę Beaty.

Przez następne dni pilnie śledzą wiadomości w telewizji.

We wtorek pojawia się kwestia pogrzebu Janiny.

W tej sprawie do Beaty dzwoni ojciec. Nie rozmawiali ze sobą od miesięcy.

– Przyjedziesz?

Nie przyjedzie, nie ma się w co ubrać. Ojciec nie ustępuje. Proponuje, że pójdzie z nią do sklepu, by wybrała coś czarnego. Beata odpowiada, że jeszcze nie wie, może przyjedzie. Odkłada słuchawkę i wraca do komputera.

Nie jedzie na pogrzeb.

W piątek znów dzwoni telefon, też z Mysłowic. Brat zastępczy informuje, że Beata dostanie tysiąc pięćset złotych z tytułu rozliczeń spadkowych. Musi tylko formalnie podpisać zrzeczenie spadku. Beata bardzo się cieszy. Umawia się z przybranym bratem i jedzie do centrum Mysłowic.

Nie rozmawiają wiele.

W następnym tygodniu nic się nie dzieje.

Śledzą wiadomości w internecie i lokalnej telewizji. Wciąż nikt nie znalazł Szymusia.

Trwają w zawieszeniu do soboty 20 marca, kiedy w regionalnej telewizji widzą relację z Cieszyna: przerażone nastolatki natknęły się na zwłoki dziecka.

Beata z Jarkiem słuchają i zdziwienie rośnie. Nie zgadza się ani wiek chłopca, ani czas podrzucenia, ale nie ma wątpliwości, że to Szymon. Bo kto inny?

Decyzję o wyjeździe z miasta podejmują spontanicznie. Pakują córki, wsiadają do pociągu. Zatrzymują się we Wrocławiu, w hotelu U Szermierzy.

Żyją z laptopem w rękę. Jak idzie śledztwo? Z tego, co widzą w wiadomościach – stoi w miejscu. We Wrocławiu dowiadują się z telewizji, że przyczyną śmierci dziecka było pęknięcie jelita i zapalenie otrzewnej. Bardzo się dziwią. Myśleli, że ich Szymek zmarł ze strachu, może na zawał. Na porodówce mówili, że miał niezasklepione serce.

Jeśli go uderzyli, to powyżej pępka. Jelita – Jarosław wie to na pewno – znajdują się poniżej. Kiedy kończą się pieniądze, wracają do Będzina, gdzie rozwieszono są portrety ich dziecka. Tak jak w całym województwie.

Przy kuchennym stole dojrzewa ostateczna wersja wypadków z Szymonem, na wypadek kontaktu z policją. Jarek wymyśla całą historię i poleca Beacie nauczyć się na pamięć. Joasia, rozbrykane dziecko, wskoczyła Szymonkowi na brzuch. To był nieszczęśliwy wypadek. Nieszczęśliwy wypadek.

Beata wykuwa formułę na pamięć, ale z mediów wynika, że policja ma do nich raczej daleką drogę.

Jeśli chodzi o Eugenię, Jarek nie czuje niepokoju. Powie jej, że dzieciak pojechał poznać dziadka do Mysłowic. Dziadek się zachwycił i zatrzymał go u siebie. Szymuś biega sobie szczęśliwy pod lasem. Matka nie będzie zadawać pytań. Nigdy nie zadaje. Wie, gdzie jest jej miejsce.

Gdyby o młodszego brata pytały starsze córki Beaty, powiedzą, że dzieciak u Eugenii. Całe szczęście nie znają się nawzajem. Nie wiedzą, gdzie kto mieszka.

Jest początek kwietnia i Joasia przestaje pytać o brata. Zajmuje się siostrą, która śmiesznie rączkuje.

W telewizji informują o dacie pogrzebu Chłopczyka z Cieszyna.

– Nazywają go Jasiu, tak jak my go nazywali – zauważa Beata i zastanawia się, czy to nie jest znak. Nie wiadomo tylko, czy zły, czy dobry.

Nawet myślą, by z ciekawości pojechać, zobaczyć. Ale nie chcą ryzykować.

Kiedy 30 kwietnia TVP3 pokazuje mowy pożegnalne i łzy żałobników, Jarosław zgrywa sobie wszystko z laptopa na płytę i wkłada na pamiątkę do koperty.

Może czują niepokój, ale coraz mniejszy.

Tego dnia dzwoni do matki, że wrócili z pogrzebu matki Beaty. Jest ciekaw, czy Eugenia ma jakieś podejrzenia, skoro wszędzie widzi zdjęcia dziecka w czerwonej kurtce. Bo przecież na Szymku tę kurtkę widziała.

Rozmawiają ostrożnie o tym, co w Cieszynie.

– Jak takie coś można dziecku zrobić? Jak je tak przewieźć? – pyta matka Jarosława.

– Może rowerem? – sugeruje Jarosław.

Życie bez Szymona wymaga uwagi i dyskrecji. A właściwie – rezurekcji.

Nie odbierają telefonów. Zwłaszcza tych z ośrodka zdrowia albo z pracy Jarka. Nie otwierają drzwi nie wiadomo komu. Na pewno nie policjantom ani wścibskim babom z ośrodka kształcenia kadr. Przez uchylone firanki Jarek widzi koleżankę z ośrodka, która przysłała na przeszpiegi.

W skrzynce na listy znajdują monity wzywające do zaszczepienia trójki dzieci.

Ponad głową Beaty urzędy wymieniają się bowiem listami i telefonami. 10 marca kierowniczka NZOZ Syberka pisze do MOPS-u w Będzinie, że matka nie zgłasza się na szczepienie dzieci.

23 marca kierowniczka NZOZ Syberka dzwoni do MOPS-u w tej samej sprawie.

29 kwietnia kierowniczka NZOZ Syberka informuje kolejny raz, że matka się nie zgłosiła i istnieje prawdopodobieństwo, że zaniedbuje dzieci.

23 lipca kierowniczka MOPS-u w Będzinie odpisuje upartej szefowej NZOZ Syberka.

Informujemy, że pracownicy socjalni kilka razy próbowali wejść w środowisko zamieszkania, ale nikogo nie zastali. Brak zgłoszenia na list polecony. Informujemy ponadto, że rodzina nie figuruje w ewidencji świadczeniobiorców i sytuacja nie jest znana pracownikowi socjalnemu.

Podpisuje się dyrektor Marzena Jaworska.

W kwietniu w skrzynce na listy znajduje się również informacja o zwolnieniu dyscyplinarnym z ośrodka, być może również prośba dzielnicowego o zgłoszenie się z Szymonem w ramach sprawdzania śląskich dzieci w związku ze zwłokami N. N. znalezionymi w Cieszynie. Życie bez Szymona wymaga więc precyzyjnej logistyki. Na szczęście Jarek ma zdolności i planuje kolejne posunięcia.

W maju Beata zgłasza się do MOPS-u, żeby wypełnić kolejny wniosek o dofinansowanie czynszu i dodatek ze względu na wielodzietność. Uwzględniła dwie dziewczynki i Szymona. Następnie dzwoni do średniej córki do Mysłowic. Pyta o wnuczka, czy zdrowy. Zastanawia się głośno, czy może odwiedzić tatę.

„Co się matka pyta o dzieciaka?” – dziwi się Marzena. Do tej pory nie pytała.

Krótko później Beata wsiada z dziewczynkami do autobusu i jadą do Mysłowic, do domu Mieczysława. Następuje pojednanie po latach, zwłaszcza że nie ma już matki Beaty, która wyrażała sprzeciw wobec jej wyborów. Na miejscu są też Marzena i jej synek, pierwszy wnuk Beaty. Dziadek wita się z siostrami Szymona. Pierwszy raz pyta o wnuka.

– A chory. Bierze zastrzyki. Siedzi u mamy Jarka.

Wieczorem Beata wsiada w autobus i wraca do Będzina.

Kiedy 20 czerwca Jarek zagląda do skrzynki pocztowej, wyciąga kolejne awizo z sądu rejonowego w Będzinie. W związku z niepłaceniem alimentów na pierwszego syna zostaje skazany na pół roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata. Sąd pozbawia go jednocześnie praw rodzicielskich. I tak się do nich za bardzo nie poczuwał.

Trudno. Zresztą na razie muszą się skupić na planie wskrzeszenia Szymona. W lipcu 2010 roku Beata telefonuje do rejestracji NZOZ Syberka w Będzinie.

Mówi, że będzie zmieniać lekarza pierwszego kontaktu i przychodnię dla swoich dzieci. Dyktuje imiona trójki dzieci. Prosi o przesłanie kart zdrowia do ośrodka przy Zwycięstwa. Tam nikt nie widział jej dzieci i nie wie, jak wyglądał Szymon.

W sierpniu Marzena znów odbiera telefon od matki. Beata mówi, że ma darmowe bilety do aquaparku. Może by wnusio poszedł? Jak tak, to niech Marzena dowiezie go do centrum Sosnowca. Na „Patelnię”, pod dworzec – instruuje córkę. Beata bierze wnuka za rękę, wsiada w tramwaj i dwadzieścia minut później wysiada w Będzinie.

11 sierpnia 2010 roku Beata rejestruje chłopca do szczepienia w ośrodku zdrowia na ulicy Zwycięstwa. Mówi, że ma na imię Szymon. Wnuczek nic nie mówi, bo jeszcze nie potrafi. W ten sposób synek Marzeny zostaje zaszczepiony przeciwko błonicy, tężcowi, krztuścowi i poliomyelitis, a Szymona na chwilę nie brakuje w żadnych rejestrach.

Po południu Beata dzwoni do córki.

– Najedzony, napity, może wracać do domu.

Dodatkowe szczepienie pozostaje wspólną tajemnicą babci i wnuczka.

W październiku Beata wypełnia w MOPS-ie kolejny wniosek o przyznanie zasiłku i dodatków. W tych wnioskach Szymon żyje i zajmuje odpowiednie metry kwadratowe.

Pytania o chłopca są sporadyczne, ale się zdarzają.

Pyta Marzena, pyta Agata, kiedy z chłopakiem odwiedza mamę.

– A ten Szymek?

– U matki Jarka jest, oczko w głowie.

Chłopak najstarszej córki pije akurat z Jarkiem wódkę. Zauważa nerwowość Jarka. Jarek krzyczy na dziewczynki, sprzecząc się z Beatą. Każdy się sprzecza, ale u nich wcześniej tak nie było.

W każdym razie Beata leci do łazienki brać jakieś tabletki i syropy, że się będzie truła. Jarek krzyczy, żeby to zostawiła i że jest głupia. Zresztą syrop jest na kaszel, za słodki, żeby dużo wypić.

Kiedy przychodzi babcia Eugenia, opowiadają, że Szymuś ma wielką radość u drugiego dziadka.

Przyjmują pięćdziesiąt złotych na prezent urodzinowy dla wnuka. Obiecują, że kupią coś ślicznego.

Tymczasem o Szymka niespodziewanie pyta Czesława od wujka Wieśka. Chodzi o to, że jak do Jarka i Beaty pukają komornik od alimentów, panie z MOPS-u, jakaś pani z banku, a u nich nikt nie otwiera, to one potem pukają piętro wyżej. Zwłaszcza do Czesławy, bo od dawna nie ma pracy i całe dni siedzi w domu, najczęściej w oknie. Czesława rozumie, że sprawy, o które pytają pukający, zwłaszcza finansowe, są Jarkowi nie na rękę, dlatego nie otwiera.

Więc jeszcze w lecie konkubina wujka Wiesława widzi Beatę z dziewczynkami i pyta, czemu nie ma Szymka, czemu nie wychodzi z domu. Beata opowiada wyuczoną historyjkę o dziecku w Mysłowicach. O lecie, łące, szczęśliwym życiu z dziadkiem. Potem idzie w swoją stronę. Beata nie jest rozmowna, raczej wycofana. Czesława jest za to z natury gadatliwa i zadaje wszystkim dużo pytań.

Dlatego pół roku później, kiedy mija rodzinę pod Żabką na Piłsudskiego, znów pyta o Szymonka. Odpowiadają, że jeszcze u dziadka. Rzuca im żartobliwie, że jak sprzedali dziecko, to poda ich do sądu. Śmieją się serdecznie.

Czesława czepia się jak rzep psiego ogona, więc jesienią znowu rzuca sąsiadce:

– Beata, to nie jest dobre, że oddałaś półtoraroczne dziecko dziadkowi, chyba jesteś szalona. Jak on się nim zajmuje, jak jest taki stary?

Radzi, by sprowadziła chłopaka, bo dzieci powinny być razem, nie wolno ich rozdzielać. Beata odpowiada, że dziadek ma ogródek, a dziecku tam dobrze. Przywiezie go, jak mały będzie szedł do szkoły. Czesława czuje, że Beata ją zbywa. Rozmawia o tym z Wiesławem, który niespecjalnie się przejmuje. Radzi tylko:

– Spytaj Eugenię, wie wszystko.

W sierpniu 2011 roku Beata wsiada do autobusu i jedzie z dziewczynkami do Mysłowic, do ojca na Ławki. Ma nadzieję, że na dłuższe wakacje. Znika sąsiadom z oczu. Jarek też przyjeżdża, ojciec Beaty już nie protestuje.

Beata o mały włos unika spotkania ze starszymi synami, którzy zwykle są urlopowani z domu dziecka na czas wakacji. Wyróśli. Mają już siedemnaście i piętnaście lat. W ramach półrocznych sprawozdań boromeuszki ze Starokościelnej zgłaszają mysłowickiemu MOPS-owi coraz więcej problemów z nastolatkami. Z nauką radzą sobie źle, chociaż nie tak źle jak siostry w drugim domu dziecka.

Starszy, Robert, wciąż nie rośnie, ale opuszcza w szkole tylko pojedyncze godziny. Jacek, choć uczy się w gimnazjum sportowym, wagaruje za dużo, jest wulgarny i złośliwy. Myśli, że dzięki temu szybciej wróci do dziadka. Wychowawczyni ze Starokościelnej przypuszcza, że nie chodzi nawet o dziadka, raczej o brak rygoru i złe towarzystwo, w które chłopcy wpadają, kiedy jadą do miasta. Z powodu zagrożenia patologią opiekunki rekomendują szybszy powrót z wakacji. W ten sposób chłopcy nie muszą widzieć się z matką.

Podczas dwóch tygodni na Ławkach Beata poznaje swoje nowe wnuczki, córki Agaty i Karoliny. Syna średniej córki już zna. Rok temu go zaszczepiła.

– A ten Szymek?

Beata recytuje historyjkę. Szymek jest u mamy Jarka, choruje, zastrzyki. Marzena rozumie, że Szymek jest niechciany. Akurat dla niej to nic nowego.

Kiedy cieszą się latem i ogródkiem, dzwoni mama Jarka i po zdawkowej rozmowie stawia syna w trudnej sytuacji. Pyta o wnuki. Do telefonu podchodzi Joasia i pozdrawia babcię. Prosi o kielbasę i ptasie mleczko. Śmieją się - wszyscy.

– A Szymuś?



Jarek spokojnie prosi, żeby poczekała. Eugenia słyszy:

– Chodź tu, Jasiek.

Podchodzi chłopczyk i mówi „baba”.

Babcia jest wzruszona, zwłaszcza że zaraz dostaje na telefon wiadomość ze zdjęciem. Jasnowłosy chłopczyk w trawie. Zdjęcie jest nieostre, ale chłopczyk się uśmiecha.

W czasie wakacji na Ławkach ojca Beaty odwiedza przyjaciółka rodziny z czasów tyskich. Beata się do niej nie odzywa, ale przyjaciółka zamiast czterdziestoletniej kobiety widzi zmęczoną staruszkę.

We wrześniu Jarek prowadzi Joasię do przedszkola. Kiedy ją odbiera, zawsze dopytuje się o postępy. Czy płakała za mamą i tatą? Nie płakała. Nauczycielka chwali tatę:

– Pięknie zaplecione warkoczki. Zawsze obecny na festynach. Nigdy nie zalega z opłatami. Tyle tylko, że dziewczynka sporo choruje.

Dzięki temu, że mała jest w przedszkolu, Beata i Jarek znajdują nowe prace. Dorywcze, ale płatne. Beata montuje długopisy, Jarek stróżuje. Gdy trzeba, z Joasią siedzi babcia Eugenia. Rodzina działa sprawnie jak zegarek.

W lutym 2012 roku umiera babcia Jarka i jego starszej siostry. Rodzeństwo widzi się pierwszy raz, odkąd urodził się Szymek. Jarek przychodzi na pogrzeb z córeczkami. Siostra nie pyta o Szymka.

– Akurat mnie to nie interesowało – zezna kilka miesięcy później.

W kwietniu sprawa chłopca z Cieszyna wraca na chwilę do polskich mediów. Prokuratura jest zmuszona umorzyć śledztwo z powodu niewykrycia sprawcy. Jeśli czuli jeszcze niepokój, teraz zelżał.

Jednak w połowie czerwca zaczyna się dzieć coś dziwnego. Najpierw w środę, koło piętnastej, do mieszkania pukają nieznajome kobiety. Z daleka śmierzdzą MOPS-em. Beata i Jarek nie otwierają, jak zwykle. Rozdzwaniamy się ich komórki z nieznanych numerów, więc je szybko wyłączają. W domu lubią mieć święty spokój.

W czwartek Jarek odbiera od matki zakupy spożywcze. Eugenia w progu zawiadamia, że dzwoniły panie z MOPS-u, żeby zapytać o Szymona, którego nie widać w kamienicy.

Odpowiedziała im, że wnuczek Szymuś przebywa w Mysłowicach.

Jarek przyjmuje informację ze spokojem. Już się żegnają, kiedy znów dzwoni komórka Eugenie. Kobieta odbiera – mówi, że się dobrze składa, i podaje telefon Jarkowi.

Pani z MOPS-u pyta, czy może przyjść odwiedzić rodzinę. Chciałaby zobaczyć Szymusia, właściwie całą trójkę dzieci. Najlepiej dzisiaj. Jarosław oczywiście chciałby, ale dziś to niemożliwe, ponieważ konkubina z dziećmi przebywa w Mysłowicach u chorego dziadka. Umawia się na piątkowe popołudnie. Wychodzi, matka nie powinna zauważyć zdenerwowania.

Sprzed bloku dzwoni do Beaty i udziela instrukcji. Nie wolno jej odpowiadać na żadne telefony. Ma rzucić wszystko i znów ściągnąć wnuka na piątkowe popołudnie.

– Coś się stało?

– Nie pierdol, tylko dzwoń.

Beata ma złe przeczucia. Ale uspokaja się szybko i wybiera numer córki. Jak się czuje wnuczek? Babcia Beata ma dla niego bilety do cyrku. Tylko Marzena musi go znów dowieźć do Sosnowca.

Ale Marzena mówi, że nie może, i rozłącza się dziwnie szybko. Beata wraca do domu.

– O co chodzi z tym wnuczkiem? – pyta Jarka.

Jarek opowiada o kobietach z MOPS-u, które znów dostały pierdolca.

W piątek rano Joasia idzie do przedszkola, Beata do pracy. Jarek dzwoni do matki, żeby nie przychodziła, bo nie musi. Siedzi w domu, kiedy znów słyszy pukanie. Tym razem dzielnicowy. Jarek nie otwiera. Pisze wiadomość do Beaty: „Bierz dziecko z przedszkola i przychodź natychmiast”.

O dziesiątej rano w piątek zdziwione nauczycielki z przedszkola przyprowadzają Joasię do drzwi. Uśmiechnięta Beata tłumaczy, że chce kupić córeczkom sukienki na zakończenie roku, pojedą do Sosnowca. I wraca do domu.

Teraz wyłączają obie komórki. Muszą, ponieważ ciągle czegoś chce Eugenia i nieznane numery. Zamykają i zasłaniają okna. Jeszcze w sobotę Beata dzwoni do Marzeny, żeby ściągnąć wnuka na ewentualne okazanie, gdyby ktoś prosił. Ale córka nie odbiera.

Siedzą w domu w niedzielę, poniedziałek i wtorek.

W poniedziałek Beata na polecenie Jarka wysyła wiadomość swojej brygadziście: ze względu na sytuację rodzinną nie zgłosi się do pracy. Przeprasza. Jeszcze nie wie, jaka to sytuacja, jest trochę skołowana, to Jarek wie, co robi. Teraz mówi, że trzeba przeczekać, aż im się odechce.

Przez drzwi balkonowe Beata widzi czubek drabiny strażackiej, a potem głowę strażaka. Funkcjonariusze próbują sprawdzić, kto jest w domu. Beata, Jarek i dziewczynki stoją za zasłoną. Perfekcyjnie udają, że nie ma nikogo.

Rano Beata idzie na szybkie zakupy. Wraca, zanim znów słyhać pukanie.

Jarek dzwoni do matki zorientować się w sytuacji. Jeszcze szukają. Rozłącza się natychmiast.

Po południu w sobotę 23 czerwca Beata wychodzi na zakupy. Policjant w cywilu podchodzi do niej na ulicy Marchlewskiego, kilka kroków od domu, i prosi do radiowozu.

– Czy w mieszkaniu przebywa pani konkubent? A dzieci?

Beata nie zaprzecza. Jadą do komisariatu, a potem na Piłsudskiego. Kiedy Jarek widzi Beatę w towarzystwie policjantów, nie jest zadowolony, ale nie okazuje, jak bardzo. Zgadza się wyciągnąć ręce do kajdanek.

– Pamiętaj, co mówić – szepcze Beacie. – Nic na nas nie mają.

Po kwadransie Joasia i Basia cieszą się na przejażdżkę z babcią. Jeszcze nigdy nie jechały radiowozem.

Część III

Będzin

2012

Wtorek, 12 czerwca

Kobieta nie podaje swojego nazwiska. Prosi tylko, żeby odłożyć długopis i posłuchać, ponieważ będzie mówić ważne rzeczy. Mieszka tu i tu, jest sąsiadką Jarosława i Beaty. Jeszcze w 2010 roku mieli oni dwie córki i syna. Teraz widuje jedynie dwie małe dziewczynki.

Ta Beata powtarza – mówi głos w słuchawce – że chłopczyk jest u dziadka w Mysłowicach. Czy ten dziadek potrafi zająć się czterolatkiem? Beata chodzi do MOPS-u po zasiłek dla trójki dzieci. To może sprawdzicie, gdzie jest trzecie dziecko?

Kobieta dodaje, że chłopiec ma na imię Szymek. I zaraz się rozłącza, stawiając aspirantkę pracy socjalnej i jej koleżanki z Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Będzinie w sytuacji bez wyjścia.

Znowu donos. Zazdrość o przyznawane zasiłki wyzwala w ludziach najgorsze instynkty.

Urzędniczka wstaje od biurka i idzie do działu poradnictwa specjalistycznego. Kierowniczka wyszukuje Beatę i Jarosława w bazie danych. Wynika z niej, że przyznana jest im pomoc w formie zasiłków dla trójki małoletnich dzieci wraz z dodatkiem z tytułu wielodzietności na najmłodszą córkę. Urzędniczka dzwoni do pokoju pracowników socjalnych.

– Dziewczyny, któraś podejdzie na Piłsudskiego?

Pod numerem 12 nikt nie otwiera. Pracowniczka socjalna wspina się piętro wyżej. Sąsiadka przysięga, że Jarosław wchodził do domu pół godziny wcześniej. Nie widziała natomiast, żeby wychodził.

Dodaje, że najstarsza córka chodzi do przedszkola numer ten i ten przy ulicy Krasickiego.

Środa, 13 czerwca

Ponieważ nie udało się wejść do mieszkania, pracownicy MOPS-u sprawdzają karty zdrowia dzieci w przychodni, dodzwaniają się do babci dzieci na Syberce, zamieniają przez telefon kilka słów z ojcem. Nie są usatysfakcjonowani, więc wysyłają faks do komendy powiatowej dwie ulice dalej.

Zawiadamiamy, że otrzymaliśmy anonimowe zgłoszenie telefoniczne informujące, że w rodzinie od dłuższego czasu nie jest widywane jedno z trójki dzieci – syn Szymon urodzony 14.04.2008.

Ustaliliśmy, co następuje:

Mieszkanie jest zamknięte, z wywiadu z sąsiadami ustalono, że widywana jest kobieta, mężczyzna i dwie dziewczynki.

Z karty zdrowia wynika, że kobieta zgłosiła się z synem 25.08.2011.

Była to jedyna wizyta. Rodzina nie ma nadzoru kuratorskiego.

Z rozmowy z babką dzieci wynika, że matka wraz z dwójką młodszych dzieci, córką i synem, przebywa w Mysłowicach u schorowanego dziadka, a syn samodzielnie sprawuje opiekę nad starszą córką.

Dodzwoniwszy się do babci Eugenii, pracownik rozmawiał z Jarosławem. Zaproponował natychmiastowy wywiad środowiskowy w obecności konkubiny i trójki dzieci.

Pan Jarosław nie wyraził zgody i wskazał termin 15 czerwca w godzinach 13.00–15.30.

W międzyczasie pracownicy socjalni zwrócili się z wnioskiem do kolegów z MOPS-u w Mysłowicach o sprawdzenie, czy widziano tam Beatę z dwójką dzieci.

Sprawdzono, że nie przebywa. Potwierdziła to podpisem najstarsza córka. Potwierdził ojciec. Dodali, że wcześniej zjawiała się tylko z Basią i Joasią.

Zachodzi podejrzenie, że zainteresowani nie zgłoszą się na przeprowadzenie wywiadu środowiskowego.

Piątek, 15 czerwca

Przez szefową MOPS-u w Będzinie przemawiało wieloletnie doświadczenie. Ani Beata, ani Jarosław nie otwierają drzwi funkcjonariuszom. Dozorczyńni budynku informuje, że Beatę widziała pięć dni wcześniej podczas comiesięcznego zbierania czynszu. Dodaje, że nigdy nie widziała żadnego chłopca.

Czesława, sąsiadka Beaty z piętra wyżej, przysięga, że widziała, jak kobieta chwilę wcześniej wchodziła z córką do kamienicy. Przyprawiała dziecko z przedszkola. Jej syna natomiast nie widziała od dwóch lat.

Ta spod numeru 17 opowiada, że Jarosław nie jest zainteresowany dobrosąsiedzkimi stosunkami. Widziała kiedyś półrocznego niemowlaka, ale nie wie, jakiej płci. Dodaje, że z natury się boi, że jakiś sąsiad może jej zrobić krzywdę.

Kobieta spod 9 mówi, że sąsiadów raczej nie zna. Przede wszystkim z powodu krótkiego okresu zamieszkiwania.

Sąsiad spod 11 widział Jarosława z chłopczykiem może cztery miesiące wcześniej. Wie, że Beata wychodzi do pracy w zakładach po byłym Chełmku o piątej rano. Montuje chyba długopisy albo nie wie co.

Następnie funkcjonariusze komendy powiatowej oraz pracownicy MOPS-u odchodzą z kwitkiem od drzwi mieszkania Beaty i Jarka przy Piłsudskiego.

Dyrektorka przedszkola nie ma rozeznania w sytuacji. Wie tylko tyle, że Beata zabrała dziś córkę, żeby kupić strój na zakończenie roku. Mówiły, że jadą do Sosnowca.

Policja wszczyna poszukiwania.

Zleca uzyskanie billingów rozmów MOPS-u w Będzinie z 12 czerwca przed południem.

Przy okazji okazuje się, że właśnie dziś wypłacono rodzinie trzysta siedem złotych zasiłku. Któreś z nich pofatygowało się do okienka. Być może babcia Eugenia, która ma upoważnienie.

Sobota, 16 czerwca

O 6.00 mimo uporczywego pukania nikt nie otwiera drzwi.

Ani o 6.30.

Ani o 9.30.

Mimo dokładnego przykładania ucha do drzwi – brak odgłosów.

Poniedziałek, 18 czerwca

Podczas gdy strażacy przystawiają drabinę do balkonu Beaty i Jarosława (nic nie widać), radiowóz podjeżdża na Syberkę. Policjanci wspinają się na siódme piętro i pukają do drzwi matki Jarka. Od ubiegłotygodniowej rozmowy z policją nie widziała syna.

Ostatni raz w czwartek, kiedy siedziała z młodszą wnuczką, a uczesana starsza poszła do przedszkola. Babcia powtarza, że wnuczek przebywa u drugiego dziadka w Mysłowicach. Ten dziadek to ojciec Beaty. Nie ma pojęcia, jak ten dziadek ma na imię. Nie była w Mysłowicach, nie interesowała się. W piątek wieczorem syn zadzwonił, żeby nie przychodziła na Piłsudskiego, bo nie trzeba. W sobotę ona zadzwoniła do syna, że jednak by przyszła, bo zostawiła ładowarkę, ale wytłumaczył jej, że nikogo nie będzie. Nie powiedział, dokąd jedzie, została bez ładowarki.

Eugenia podkreśla, że ma bardzo dobre kontakty z synem, który nie spożywa alkoholu i żyje w zgodzie z konkubiną. Miewa problemy finansowe, ale matka dokłada, ile może. Dodaje, że Beata ma pasemka w kolorze czerwonym na długich włosach, a syn przytył, twarz ma może bardziej okrągłą niż na zdjęciach. Wyciąga z szuflady fotografie trójki wnucząt. Siedzą na kanapie. Blond dziewczynki śmieją się do aparatu, Joasia szeroko, Basia oszczędnie. Ten smutnawy chłopczyk z prawej to jej Szymuś.

Wieczór

Policjanci z wydziału kryminalnego wpatrują się w zdjęcie dzieci. Przez głowę przechodzi im myśl, że poszukiwany chłopak jest podobny do innego chłopca. Szukało go całe województwo. Rano postanawiają sprawdzić swoje przypuszczenia.

Wtorek, 19 czerwca

Naczelnik może się mylić, pyta kolegów i przegląda notatki policjantów, które wpływały w 2010 roku, kiedy w Cieszynie znaleziono małe zwłoki.

W związku z poleceniem komendy wojewódzkiej niektórzy koledzy kilometrami kolędownali od drzwi do drzwi, żeby sprawdzić, czy wszyscy mali

chłopcy w Będzinie są w swoich domach. Na Syberce pukali nawet do co trzeciego mieszkania.

Naczelnik wydziału kryminalnego znajduje notatkę z 29 maja 2010 roku. Dzielnicowy melduje, że w związku z pismem 1352/10 między 17 a 29 maja odwiedzał rodziny z chłopcami. Był też na Piłsudskiego, w mieszkaniu Beaty i Jarosława.

Kobieta pokazała mu dziecko w wieku około dwóch lat. Powiedziała, że to syn. Nie sprawdzał, czy są tam inne dzieci. Teraz, zapytany, rysopisu podać nie potrafi, ponieważ tego samego dnia oglądał jeszcze dziesięcioro innych dzieci z centrum i Syberki. Prawda jest taka, że nawet dzielnicowy nie może zaglądać dziecku w pieluchę.

Po południu dyżurny w komendzie w Będzinie odbiera telefon od siostry Jarosława. Zaalarmowana przez matkę, wyraża niepokój, że jej bratu mieszkającemu z konkubina i trójką dzieci mogło się stać coś straszego. Funkcjonariusz jedzie porozmawiać z kobietą o szczegółach jej relacji z bratem.

Od 2010 roku widziała go dwa razy. Wie, że brat ma trójkę dzieci. Joasia jest przywiązana bardziej do taty, Basia to przyłepek mamusi. Jarek jest bezpośredni, ale kobieta wyklucza, aby karcił dzieci surowiej, niż trzeba. A znowu Beata to jest taki mruk. Jeśli chodzi o niemowlaka płci męskiej, widziała go raz, gdy miał dwa miesiące. Poza tym nie interesowała się, ma swoje problemy.

W oknach na Piłsudskiego wciąż ciemno, licznik energii się nie kręci.

Sąsiadka z balkonu naprzeciwko nie widziała rodziny od czterech dni.

Środa, 20 czerwca

Eugenia oficjalnie zgłasza zaginięcie syna, konkubiny oraz wnuczka.

Chociaż akurat syn dzwonił wczoraj. Kiedy powiedziała: „Słucham”, odparł: „Co tam?”. Poinformowała go, że cały Będzin szuka jego oraz dzieci. Rozłączył się bez słowa.

Hipoteza, że Beata z konkubentem wyjechali na wakacje, nie wydaje się specjalnie prawdopodobna. Musieliby wyjechać za pieniądze Eugenii. Funkcjonariusze przeszukują będzińskie pustostany i piwnice, także hotel, w którym dorywczo pracował Jarosław.

Czwartek, 21 czerwca

Centrum Pediatrii w Sosnowcu przesyła do komendy w Będzinie dokumentację medyczną Szymona.

Funkcjonariusze wydziału kryminalnego czytają o urazie przedramienia w roku 2009, gipsie i szynie. Od 2010 roku nikt nie zgłosił się na kontrolę.

Piątek, 22 czerwca

Ponieważ podobieństwo między zdjęciem Szymona a chłopczykiem z Cieszyna nie daje śledczym spokoju, znów proszą chłopaków z patrolu, żeby zajrzeli na Piłsudskiego. W tej samej kamienicy mieszka Wiesław, wujek Jarosława. Czy chłopiec z portretu pamięciowego to syn bratanka?

Chłopcy pukają do Wiesława, ale wujek nie umie rozpoznać dzieci.

– Panie, przecież to rodzina i mieszka piętro niżej – dociskają funkcjonariusze.

– Akurat się nie interesowałem.

Naczelnik wydziału kryminalnego prosi kolegów z Mysłowic, żeby ze zdjęciem chłopca zajrzeli do ojca Beaty. I jeszcze z portretem pamięciowym tego małego z Cieszyna.

Meldują się na Ławkach tego samego popołudnia. Dziadek nie ma pojęcia, jak wygląda jego wnuczek, ponieważ mieszkał on w Będzinie u matki konkubenta córki. Być może Marzena, córka Beaty, widziała chłopca. Po rozstaniu z konkubentem mieszka u dziadka z dzieckiem, można zajrzeć na górę.

Marzena przypomina sobie, że mama, będąc w ciąży z Szymonem, ukrywała to przed starszymi dziećmi. Szymon był dzieckiem niechcianym. Bo dlaczego zostawiła go u babki w Będzinie? Marzena w tym momencie nie widzi podobieństwa między Szymkiem a chłopcem z Cieszyna. Jest jednak, mówi,

jedno ale: jeszcze w piątek mama dzwoniła, żeby zabrać jej syna do cyrku. Było to dziwne, zwłaszcza że wcześniej dzwonili z MOPS-u w sprawie mamy, czy jej przez przypadek nie ma w Mysłowicach i czy jest z nią Szymek. No to Marzena powiedziała mamie, że nici z cyrku.

Zgadza się użyć porównawczego materiału genetycznego. W tym celu funkcjonariusz przykłada sterylny patyczek z opatrunkiem do wewnętrznej części policzka, zbiera ślinę i zamyka ją w probówce.

Jeszcze przy płocie Marzena rzuca, że może młodsza siostra Karolina będzie pomocna. Mieszka ulicę dalej, razem z córką, u konkubenta.

Karolina z mamą utrzymuje kontakty sporadyczne. Mama dzwoni, gdy czegoś potrzebuje. Na przykład pożyczyć pieniądze albo dziecko siostry, nie wiadomo po co. Szymona pamięta: był smutny i zaniedbany. Dziecko na portrecie pamięciowym przypomina Szymona. Zwłaszcza oczy i usta. To wszystko, co Karolina ma do powiedzenia.

Nieumundurowani funkcjonariusze z wydziału kryminalnego nie odstępują kamienicy.

Piątek jest trzecim dniem pracy Pawła Łotockiego na stanowisku rzecznika Komendy Powiatowej Policji w Będzinie. Wcześniej pracował w Dąbrowie Górniczej, gdzie problemy natury opiekuńczej zdarzały się z pewną regularnością, ale miały charakter lokalny i dość banalny.

Dzieci męczone przez pijanego ojca, opuszczone, gdy rodzice oddawali się libacjom, przemoc domowa. Wszyscy przeżyli.

Teraz koledzy mogą mu współczuć, ponieważ Łotocki przejdzie chrzest bojowy na skalę ogólnopolską. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi wkrótce pod komendą zacznie się medialny kocioł. O akcji na Piłsudskiego wie kilka osób. Policjanci, ale także strażnicy miejscy. Dziennikarze z pewnością dostaną o niej informację. Zwłaszcza ci, których redakcje płacą za sensacyjne donosy.

Sobota, 23 czerwca

Komisarz Paweł Fryc z wydziału kryminalnego wraca samochodem żony do domu po dyżurze, kiedy w kieszeni dzwoni telefon. Dochodzi piętnasta.

– Wyszła z domu – mówi głos w słuchawce.

Fryc rozumie, że to jeden z sąsiadów, których prosili o pomoc w ustaleniu miejsca pobytu Beaty, Jarosława i ich córek, i że nie ma na co czekać. Zawraca do komendy, gdzie dyżuruje jeszcze jeden funkcjonariusz, poza tym komenda pusta. Jadą prywatnym samochodem. Dwie ulice dalej, na Małachowskiego, Fryc widzi Beatę z zakupami. Rozmawia z młodym mężczyzną.

Fryc parkuje, pokazuje legitymację i zaprasza do samochodu. Beata wsiada bez oporu, jak bezwolna marionetka. Wracają do komendy.

– Mam do ciebie jedno pytanie. – Fryc odwraca się do pasażerki. – Może to być najważniejsze pytanie w twoim życiu. Zastanów się, co odpowiesz. Czy twój syn Szymon jest chłopcem z Cieszyna?

Beata jeszcze pyta, czy policjant może sprawić, by nie straciła kontaktu z żywymi córeczkami.

Fryc odpowiada twierdząco, cel uświęca środki.

– To był wypadek.

W komendzie w Będzinie zaczyna się mobilizacja. Koniec weekendu. Beata mówi, że w mieszkaniu czeka na nią Jarosław z córkami. Obiecała, że wróci za pięć minut, nie ma jej już pół godziny. Zachodzi obawa, że podczas zatrzymania będzie się opierał. Może skrzywdzić dzieci. Skąd w sobotę po południu ściągnąć negocjatora? Szkoda czasu, więc grupa operacyjna wraca na Piłsudskiego z Beatą.

Beata otwiera drzwi, policjanci czekają za jej plecami. Z niewietrzonego tygodniami mieszkania uderza fala smrodu.

Jacek Hutyra wyrywa chwasty spod piwonii na działce koło Cieszyna, kiedy dzwoni komendant Bąk.

– Chłopaki wiedzą, kto zabił naszego Jasia. Stoją pod drzwiami mieszkania tych ludzi – mówi wzburzony.

Hutyra prostuje się znad grządek.

– Są w Będzinie.

Hutyrą biegnie do domu i włącza komputer, a potem otwiera plik z listą osiemdziesięciu ośmiu chłopczyków do sprawdzenia. Jest i Będzin. Na pierwszym miejscu: Szymon R., urodzony 14 kwietnia 2008 roku. Nie zgłosił się na szczepienie w 2011 roku, nie chorował od marca 2010 roku. „Nasz Jaś miał na imię Szymon”.

Znów komendant:

– Jacek, mają ich. Przyznali, że ich syn nie żyje. Zostawili go w Cieszynie. Mówią, że był wypadek.

– Jadę do nich.

Hutyrą dzwoni do funkcjonariuszy na dyżurze. Potem do prokuratora Józwiaka. Prokurator też w ogrodzie, ale przeprasza gości, których akurat zaprosił. Mówi, że zaraz będzie czekał pod domem. Pojadą wszyscy.

Po drodze dzwonią do Katowic. Marczewski nie może uwierzyć, kiedy dowiaduje się, że komenda powiatowa od tygodnia miała podejrzenie, że Jaś to Szymon, i że sama zatrzymuje podejrzanych, zamiast dzwonić do Katowic.

Gdyby się okazało, że wojewódzcy prowadzą działania operacyjne, mogłaby je unieważnić.

Jest późny wieczór, kiedy docierają do Będzina. Ciemno, błędzą. Jadą w napięciu, przedwojenne nieremontowane budynki przy Sokolskiej i Zagórskiej między Sosnowcem a Będzinem wydają im się scenerią z horroru. Podjeżdżają do hotelu w centrum. Noc jest bezsenna.



Będzin, 16.00

W drzwiach wychylają się zza kolan Jarka głowy dziewczynek.

Dzieci, które pojawiają się podczas zatrzymań domowych, zwykle wywołują u funkcjonariuszy uczucie dysonansu. Krzyki, gonitwa po pokojach, rzucanie krzesłami w desperackiej obronie, kajdanki, ręce z tyłu – to widowisko raczej dla dorosłych. Z tym że zazwyczaj, kiedy jedno z rodziców wychodzi pojmane do radiowozu, przerażenie małego dziecka łagodzi drugie, najczęściej matka. Sytuacja z Jarkiem i Beatą ma ten minus, że wyprowadzić trzeba oboje. Plusem jest to, że się nie szarpia, a w notatnikach funkcjonariuszy znajduje się numer do babci Eugenii, którą można przywieźć z Syberki. Potem, zgodnie z prawem, o losie dziewczynek zadecyduje kurator.

Babcia potulnie pozwala się przywieźć, pakuje sukienki dziewczynek, zabawki, gładzi po główkach i prosi o podwózkę do kuzynki, żeby zmylić pierwszych dziennikarzy, którzy już nadjeżdżają z Katowic. Eugenia płacze, dziewczynki wskakują do radiowozu, w mieszkaniu zostali tylko Beata i Jarosław.

Fryc obserwuje swoich ludzi. Gdyby nie on, rozszarpaliby tę parę. Sam ma dwie dekady doświadczenia. Od czasu, gdy widział, jak pięcioletni chłopiec na polecenie pijanej matki ściera szmatą polibacyjną krew swojego ojca z kuchennej podłogi, jego wrażliwość uległa profesjonalnemu stępieniu.

Jarek i Beata, nietknięci, zakrywają twarze kurtkami, gdy policjanci przeprowadzają ich przez tłum fotoreporterów do dwóch aut. Do dziennikarzy wychodzi stremowany Łotocki.

Dwie godziny później w Będzinie meldują się Jacek Hutyra i prokurator Józwiak.

Jeszcze w sobotę Beata tłumaczy funkcjonariuszom, że nic złego nie zrobiła. Jest apatyczna i pozbawiona emocji. Budzi wściekłość. Owszem, czasem narzekała, że ją denerwują dzieci, jak to dzieci. Szymek też, bo często płakał. Zazwyczaj, jak mu Joasia dokuczała albo jak był niedojedzony. Płakał również bez powodu, a zginął przez przypadek. Oni go z Jarkiem porzucili, bo się bali fałszywych oskarżeń.

Funkcjonariusze pokazują Beacie zdjęcia z ubraniami chłopca. Beata rozpoznaje odzież Szymusia. Z zastrzeżeniem, że jak ją zakładali trupkowi, to była czysta, a teraz jest brudna.

I jeszcze:

- Myśmy Jaškowi nic nie zrobili.
 - Jakiemu Jaškowi? – pyta Hutyra.
 - Mówiliśmy mu „Jasio”.
- Prokurator Jóźwiak drętwieje.

Niedziela, 24 czerwca

O poranku Beata siedzi przed Hutyrą i przypomina sobie kilka zimowych dni z 2010 roku.

We wtorek 23 lutego dzieciak miał biegunkę i nie chciał jeść.

Kiedy kończy zdanie, funkcjonariusz zdaje sobie sprawę, że ich Jasiak leżał niezauważony trzy tygodnie. Nie może w to uwierzyć. Niestety musi. Kobieta bezbłędnie recytuje wyuczoną lekcję.

Tak więc syn nie sygnalizował, że coś go boli, ale miał zapadnięte oczy, brało go. Stwierdziła, że pojedzie na dyżur do Czeladzi, ale jakoś jednak nie pojechała. W piątek konkubent zrobił płukanie żołądka, po tym syn czuł się lepiej. Wypił pół butelki mleka. Pamięta, bo akurat konkubent zaczął myć podłogi. Chce dodać, że w środę 24 lutego w godzinach popołudniowych usłyszała z pokoju odgłos upadku, zsunęcia się, a kiedy spojrzała, Joasia, starsza córka, wstawiała z Szymona. To znaczy: Szymon leżał na podłodze, a Joasia stała nad nim w rozkroku. Joasia powiedziała, że Szymon spadł z łóżka, a ona pomagała mu wstać. Lubiła bawić się z Szymonkiem jak z zabawką. Szymonek czasem bał się Joasi.

Chce również dodać, że dzwoniła do przychodni potwierdzić poniedziałkowy termin szczepień. Niestety w poniedziałek nie było sensu go dotrzymywać ze względu na nieobecność dziecka wśród żywych.

Mogło się zdarzyć, że klepnęła Szymona w rękę lub w nogę, ale przenigdy w głowę, brzuch ani plecy. To na pewno nie.

Co do feralnej soboty, mieli z Jarosławem zamiar pójść do szpitala, by udzielić pomocy dziecku, ale czekali na wyjście babci, która się zasiedziała.

Gdyby jej nie było, cała sprawa mogłaby się zakończyć inaczej. Niestety po jej wyjściu syn już nie oddychał.

Zdarzyło się, a oni się bali. Ludzka rzecz.

Już po przesłuchaniu, w następnej fazie śledztwa, Jacek Hutyra sprawdzi dokładnie, jaka odległość dzieli mieszkanie na Piłsudskiego w Będzinie od szpitala miejskiego, gdzie w tę lutową sobotę, a także w poprzednie dni, był ostry dyżur. Wychodzi mu, że czterysta dwadzieścia metrów. Nawet z Szymonem na rękach rodzice dotarliby tam w pięć minut. Parking, na który nieśli zwłoki dziecka, jest sto metrów od domu. Minuta drogi.

Bielsko-Biała

W prokuraturze przed Arkadiuszem Józwiakiem siada Jarosław, który przyjmuje inną niż Beata strategię zarządzania kryzysowego. Płacze jak bóbr, kiedy wspomina zmarłego synka.

Przede wszystkim wyznaje, że Beata od początku była złą matką dla ich dzieci. Dla swoich pozostałych zresztą też. Jarosław nie miał pojęcia, że ta pierwsza piątka poszła do bidula. Straszna tragedia. Myślał, że ich ojciec się dziećmi zajmuje. Skąd miał wiedzieć, że nie? Nie interesował się.

Paliła przy dzieciach papierosy, chociaż na nią krzyczał. Wyzywała dzieci. On natomiast martwił się o ich zdrowie, przede wszystkim o Szymonka, który, jak wiadomo, był słabszy. Może dać dowód. Oto po zdarzeniu ze złamaną rączką synuś dostał skierowanie do poradni onkologicznej na Ligocie. Oboje z Beatą płakali ze strachu o dziecko. Rak w rodzinie to tragedia. W Ligocie kazali synusiowi zostać na badania co najmniej na miesiąc. Zapytali, czy Beata też zostanie, a Beata na papierosie powiedziała, że w szpitalu kiblować nie będzie. Musiał sam lekarkom powiedzieć, że matka nie zostanie, dziwiły się trochę. Przyjeżdżał do dziecka służbowym autem w tygodniu, Beata tylko z nim w weekendy. Pocieszał Szymonka, że będzie pięknym chłopakiem z prostą ręką, bez problemów z dziewczynami. Jak chłopiec wychodził ze szpitala, jak Jarka zobaczył, to aż się trząsł, tak się cieszył.

Beaty się bał, zwłaszcza gdy zrobił kupę w pieluchę. Kiedy go rozbierała z tą kupą, uciekał pod stół, bo go wyzywała i biła.

Ogólnie to od dzieci wolała seriale, zwłaszcza *Na Wspólnej*. Odcinki premierowe, a potem powtórki.

Dwa dni przed śmiercią Szymonka zaczęła się na niego wyjątkowo głośno drzeć, używała wulgaryzmów, ścisnęła mu buzię, żeby nie wrzeszczał. Dopiero gdy Jarek powiedział jej, że jest pojebana, to przestała.

Syn zsuwał się z kanapy, kiedy walnęła go mocno w brzuch. Wtedy to już wrzeszczał. Następnie go kopnęła. Jarek nie miał pojęcia, że na skutek tego uderzenia i kopnięcia lub nadeptnięcia może nastąpić śmierć.

W feralny piątek chłopiec nic nie jadł, tylko siedział. W sobotę umarł. Jarek wyzywał ją od morderczyń, chciał do lekarza, chciał wezwać karetkę, wszystko, ale mu groziła, że straci dzieci. On wtedy żył jak w transie, kariera mu się załamała, przestał płacić alimenty, dostał wyrok. W zasadzie wczoraj nawet mu ulżyło.

Co do odzieży dziecka – oczywiście rozpoznaje ją na zdjęciu. Z tym że wydawało mu się, że rajstopki wkładał w innym odcieniu. No ale spieszył się, mogło mu się pomylić. I zaznacza: jak je wkładał Szymusiowi, ubranka były czyste.

W kolejne dni uzupełnia swoją wersję o dodatkowe elementy.

Józwiak znów notuje, że Jarek płacze.

Kiedy zatrzymany wraca do celi, pisze list do Beaty.

Kochanie, Beciu.

nie mogę przestać myśleć o naszych dziewczynkach. Przejdziemy przez to piekło razem. Odzyskamy je na pewno.

Jeszcze przez dziesięć dni Beata wierzy, że Jarek rzeczywiście ma takie plany.

Poniedziałek, 25 czerwca

Nieoczekiwane wyprowadzenie z kamienicy Jarosława i Beaty jest tematem numer jeden na ulicy Piłsudskiego w Będzinie oraz na myśłowickich Ławkach. Zwłaszcza że sąsiadów i rodziny nie odstępują dziennikarze telewizji informacyjnych. Raczej nie da się przed nimi uciec.

Tak więc najpierw przed kamerą siadają Agata i Marzena, dwie najstarsze córki Beaty, które o zatrzymaniu mamy dowiedziały się dopiero od dziennikarki. Siedzą w ogrodzie dziadka w Mysłowicach, w różowych podkoszulkach, przystojne, uczesane i umalowane. Przyznają, że na portrecie pamięciowym wyraźnie widać brata. Wykapany Szymuś, teraz to widzą. Tłumaczą, że ich matka nie była dobra, w zasadzie żadna. Cztery lata nie kontaktowała się z ich młodszą siostrą Karoliną, a z Marzeną owszem, żeby pożyczyć pieniądze. Wnuczkami się nie zajmowała. Wnukiem nieoczekiwanie raz, żeby go nagle zabrać do miasta.

Następny do przepytania jest dziadek, który bezradnie wpatruje się w kamerę. Chce zaznaczyć, że trudno mu wyrazić słowami to, co czuje. Próbował wychować córkę na osobę uczciwą, ale nie zawsze ma się wpływ. Zwłaszcza że córka konfliktowała się z matką. Tak się złożyło, że wnuka nie widział. Beata tłumaczyła, że ma arytmie, bierze antybiotyki, jest u drugiej babci lub w szpitalu. Tak się złożyło. Co miał zrobić?

Dziennikarze wracają do Będzina. Babcia z Syberki (prosi, żeby zasłonić jej twarz) tłumaczy, że nic nie podejrzewała. Dawała pieniądze, kupowała prezenty, gotowała dla syna i nie widziała, żeby się kłócił z Beatą, mimo że nie była zbyt czuła dla dzieci. Niemożliwe, żeby Szymuś nie żył. Niemożliwe.

Sąsiadka z Piłsudskiego powtarza, że Beata nie chciała otwierać, więc te wszystkie panie z MOPS-u trafiały do niej na górę. Co pół roku przychodziły, a ona zawsze im mówiła, że na dole mieszkają same dziewczynki. Czemu jej nie słuchały? W końcu nie wytrzymała i zadzwoniła z obywatelskim donosem.

Sąsiadka z Małachowskiego uważa, że denuncjatorka miała w tym jakiś interes. Może jej konkubenci podpadli? Bo że zrobiła to bezinteresownie, to zupełnie niemożliwe.

Podobne pytania jak dziennikarze zadają po kolei również policjanci. Rozmówcy są odrobinę ostrożniejsi.

Sąsiedzi z parteru i z klatki obok przyznają, że dużo przesiadują na ławkach przed bramą. Raz jedni, raz drudzy, ale zawsze ktoś jest. Dużo zależy od ilości czasu, pogody oraz piwa. Nawet gdyby coś widzieli, to niewiele by ich interesowało, co nie?

Siostra Jarosława tłumaczy, że nie wiedziała nawet, że Beata jest już babcią. Co za historia!

Jacek Marczewski, który uczestniczy w śledztwie, odwiedza szefową Jarka w izbie skarbowej. Kobieta rozplęwa się nad manierami byłego kierowcy, jest w szoku z powodu aresztowania, a na koniec dodaje mimochodem:

– A wie pan, że jak rozwiesili te plakaty z portretem, to któraś powiedziała, że to jak Szymon od Jarka? Kto by pomyślał.

„Kobietko – myśli Marczewski – wystarczyłby jeden telefon”.

O 11.30 anonimowy telefon informuje, że pod Sądem Rejonowym w Bielsku-Białej leży bomba. Zanim policjanci stwierdzą, że alarm był fałszywy, cały budynek trzeba ewakuować, a oblegających go dziennikarzy – odsunąć. Jednak po południu sąd wydaje decyzję o trzymiesięcznym areszcie dla rodziców Szymona. Obojgu zostają przedstawione zarzuty, z tym że Beacie poważniejsze.

W tym czasie policjanci przeszukują będzińskie mieszkanie. Wysprzątane, wyremontowane i schludne.

Hutyra:

– W wąskim przedpokoju wiszą trzy zegary. Okrągłe, z imionami dzieci na cyferblatach i z datami urodzenia. Zegar Szymona z małą owieczką, bo urodził się pod znakiem Barana. Wszystkie czynne, dokładnie odmierzają czas. Wrażliwszym funkcjonariuszom przechodzą po plecach dreszcze.

W szufladzie wśród rachunków i reklam dyskontów leżą zdjęcia rodzinne. Na jednym trójka rodzeństwa siedzi na tapczanie. Dwie jasnowłose roześmiane małe dziewczynki i wielkooki smutny chłopczyk, który wpatruje się w obiektyw. To ostatnie zdjęcie Szymona.

W małym pokoju śledczy znajdują niespodziankę: dwa czynne naboje do karabinu – nielegalna, sentymentalna pamiątka z wojska, ale może czubek większej afery.

Dwie ulice dalej w gabinecie prezydenta w eleganckim urzędzie miejskim trwa burzliwa narada. Dziennikarze z programów o zacięciu sensacyjno-społecznym, którzy od dwóch dni systematycznie przesłuchują osoby dramatu,

podchodzą właśnie pod schody uzbrojeni w obiektywy i mikrofony. Zaraz będą zadawać pytania, a właściwie jedno: jeśli rodzice pobierali zasiłek, to kto przez dwa lata przeprowadzał wywiad środowiskowy?

Widzowie programów sensacyjno-społecznych wiedzą doskonale, że MOPS to najsłabsze ogniwo, murowany kandydat do obarczenia winą. Kozioł ofiarny jest potrzebny, zwłaszcza że podejrzani są dla kamer chwilowo niedostępni.

Do dziennikarzy wychodzi sam prezydent miasta. Gestykulując z uwzględnieniem reguł mowy ciała, zapowiada szczegółową kontrolę sprawy rodziców Szymona. Jest profesjonalny, więc nie chce spekulować. Tym sposobem zyskuje co najmniej dwa dni na przygotowanie kontrataku. Kamery odsuwają się od urzędu, oblężenie słabnie.



Środa, 27 czerwca

Sprawa, piąty dzień relacjonowana w mediach, wciągająca jak serial, pobudza w mieszkańcach instynkt obywatelski. Do MOPS-u dzwoni osoba podająca się za sąsiadkę Eugenii. Chce powiedzieć, że ta pani musiała wiedzieć o mordzie, ponieważ codziennie jeździła do Jarka i Beaty. Jak nie do opieki, to z wałówką. Dodaje, że Beata nie jest pierwszą partnerką Jarosława, z którą są kłopoty. Dwa lata przed urodzeniem Szymona Jarosławowi urodził się syn z inną panią z Syberki. To nie wszystko. Przed siedmiu laty u mamy Jarka pomieszkiwała jedna kobieta z synami. Awantury słychać było przez ściany, dwa razy Jarek pobił chłopca. Dziecko odjechało karetką.

Pani ze sklepu naprzeciwko widziała, jak Beata prowadziła córki.

– Ciągnęła je jak worki po ulicy. Wiecznie na coś wkurwiona.

Jeśli chodzi o dziennikarzy sensacyjnych, nie mogą dłużej czekać. Nie mają kontaktu z oskarżonymi, więc muszą znaleźć współodpowiedzialnych za cierpienie i śmierć dziecka.

Na szczęście są już wyniki przeprowadzonej przez pracowników urzędu miasta niezależnej kontroli w będzińskim MOPS-ie. Wynika z niej, że ogólnie ośrodek działał bez zarzutu. Na przykład zakwalifikowano rzeczoną rodzinę do rządowego programu na żywność, mimo że przekroczyła kryterium dochodowe.

Kontrolerzy przyznają, że kiedy przychodnia prosiła o pomoc w ustaleniu, dlaczego dzieci z Piłsudskiego nie dotarły na szczepienia, pracownikom socjalnym sprawa nie wydała się priorytetowa. Miały na warsztacie bardziej drastyczne.

Owszem, w 2010 roku odwiedziły mieszkanie Jarka i Beaty, zapukały, pocałowały kłamkę, powtórzyły procedurę i odpuściły. Do ośrodka zdrowia poszło pismo z informacją, że rodzina nie pobiera świadczeń. Stwierdzenie to wydaje się niefortunne, bo rodzinie wypłacano świadczenia rodzinne. Ale wypłacano je na podstawie wniosków świadczeniobiorców, które nie wymagają wywiadu środowiskowego. Istnieje przypuszczenie, że od marca 2010 roku Beata i Jarosław pobierali je bezprawnie. Trzeba to sprawdzić.

Ambiwalencja raportu nie jest tym, na co czekali dziennikarze, dlatego z paska na ekranach stacji informacyjnych nie schodzi pytanie o szereg nieprawidłowości w będzińskim MOPS-ie za czasów kierowniczki Beaty Jaworskiej. W każdym razie Jaworską, która już nie pełni funkcji, urząd miasta wystawia na pożarcie.

– Nie czuję się kozłem ofiarnym, choć przedstawia się mnie w takim świetle – mówi Jaworska do kamer i tłumaczy, jak doszło do niefortunnej korespondencji między MOPS-em a ośrodkiem zdrowia.

Przede wszystkim to nie ona była autorką feralnego pisma, a jedynie je sygnowała.

– Dyrektor nie pisze sam, bo takich pism dziennie sporządza się setki. Pisze je pracownik socjalny, który zajmuje się rodziną, sprawdza jego zwierzchnik, a dyrektor jest od tego, by pismo sygnował. Trudno, żeby dyrektor sprawdzał każde pismo, które wychodzi z ośrodka.

Jaworska sugeruje, żeby winnych szukać pod innym adresem. Ma wycucie dynamiki mediów. Szukanie wymaga czasu, pieniędzy i cierpliwości. Te akurat są obecnie towarem deficytowym. Poza tym pora na kolejny odcinek serialu o Szymonie.

Przez kilka poprzednich dni, w niedzielę, poniedziałek i wtorek, córki Jarka i Beaty siedzą jeszcze na kolanach babci Eugenii. Jest przyjemnie, jak zwykle z babcią, chociaż teraz nie wychodzą na podwórko, a Joasia nie idzie do przedszkola. W poniedziałek zgodnie z przepisami prawa odwiedza je pani z MOPS-u. Sprawdza, czy mieszkanie czyste, i pyta o plany matki Jarka. Pani jest usatysfakcjonowana. Mieszkanie trzypokojowe, schludne, łazienka i sprzęt AGD, emerytura tysiąc dwieście złotych. Babcia jest roztrzęsiona, powtarza, że nic nie wiedziała, ale dziewczynki nie wydają się wylęknione. Bawią się w swoim pokoju, ciekawe zaglądają do kuchni, w której toczy się rozmowa. Babcia, notuje pracowniczkę MOPS-u, chce zostać rodziną zastępczą dla wnuczek. Będzie się ubiegała o wsparcie finansowe i pomoc psychologiczno-wychowawczą.

Tak się jednak składa, że we wtorek na Syberkę przychodzi kuratorka z sądu rodzinnego, która ma prawdziwe moce decyzyjne, i to ona zadecyduje o losie dziewczynek. To najważniejszy moment w ich życiu.

Pani kurator jest zdania, że należy usunąć dziewczynki z widoku wścibskich mediów i zapewnić im spokój. Babcia nie robi na kuratorce dobrego wrażenia. Ze względu na wiek, a także ograniczone kompetencje wychowawcze (i dodatkowo zainteresowanie mediów) mogłaby nie sprostać obowiązkowi opiekuńczym, nie zaspokoić potrzeb psychicznych. Słowem: nie nadaje się na opiekunkę wnuczek. Widywała je prawdopodobnie sporadycznie, więcej może Joasię, która spędzała u niej po kilka dni. Nie ma, uważa kuratorka, naturalnej więzi. Rodzina nie obchodzi wspólnie świąt ani urodzin. Nie można pominąć faktu, że babcia, upoważniona przez Beatę, pobierała w MOPS-ie świadczenia na martwego wnuka. Teraz Eugenia z pewnością czuje się napiętnowana społecznie. Ta sytuacja nie sprzyja - wnuczkom.

Kuratorka uważa też, że najlepiej im będzie w domu dziecka, a potem w dobrej rodzinie zastępczej. Tak więc już następnego dnia pracownik socjalny i psycholog podjeżdżają na Syberkę, żeby wręczyć babci pismo z sądu rodzinnego. A właściwie wymienić je na dzieci. W sobotę straciły rodziców, a we wtorek, dla ich własnego dobra, jedyną babcie.

Teraz Joasia i Basia jadą do sierocińca w Sarnowie. Ekipa specjalistów z sądu rodzinnego i powiatowego centrum pomocy rodzinie jest zadowolona – dzieci wychodzą z bloku bez zbędnej hysterii.

W najbliższych dniach poznają jeszcze inne malownicze miejscowości województwa śląskiego.

Tymczasem w Bielsku-Białej Jarosław bardzo prosi o objęcie go szczególną ochroną w areszcie, ponieważ inni osadzeni mogą mieć negatywne nastawienie do dzieciobójców. Chciałby też „realizować” kąpiele i zajęcia kulturalno-oświatowe.

Czwartek, 28 czerwca

Podczas długich chwil odosobnienia w areszcie śledczym w Biesku-Białej Jarek przypomina sobie szczegóły, które mogą pomóc prokuratorowi Józwiakowi odpowiednio ocenić sytuację. Dlatego prosi o możliwość złożenia dodatkowych zeznań. Józwiak słucha.

Gdy Jarek poznał wyniki sekcji, zrozumiał, że to ona, kopiąc dziecko, je zamordowała. Potem zresztą od razu zdjęła ze ściany jego zdjęcie, żeby go nikt nie rozpoznał. Tłumaczyła, że Joasia się boi, bo brat ma dziwne oczy.

Co do Beaty, to była okrutna dla ludzi i zwierząt. Jak był pies, to co i raz miał zapuchnięte oczy. Waliła go ścierką nasączoną żrącym płynem do kafelków. Sam musiał rumiankiem przemywać psu oczy.

Matka Jarka praktycznie codziennie przynosiła produkty i karmiła dzieci, bo Beata nie jadała śniadań, dzieci olewała. Sypała płatki do miseczek i sadzała na wersalce. To żadne śniadanie nie jest. Ciągle wgapią się w seriale. Powiedział jej, że pozbyła się jednych dzieci, a teraz nie zależy jej na wspólnych.

Tylko on i jego matka martwili się o dzieci. On na przykład o Joasię. Jak z przedszkolem jechała na wycieczkę na Jasną Górę, to stał za drzewem do dziesiątej, żeby sprawdzić, czy bezpiecznie odjechała. I nie może zrozumieć, dlaczego konkubina nienawidziła Szymona.

W Katowicach Katedra i Zakład Medycyny Sądowej i Toksykologii Sądowo-Lekarskiej Śląskiej Akademii Medycznej potwierdza, że znaleziony w Cieszynie chłopczyk to Szymon, syn Jarka i Beaty.

Piątek, 29 czerwca

Dyrektorka domu dziecka w Sarnowie jest zadowolona z nowych lokatorek. Na pierwszy rzut oka wszystko wyparły. Zaraz po przyjeździe bawiły się w pokojach zabaw. „Są radosne i uśmiechnięte. Łatwo nawiązują kontakt z dorosłymi. Pięknie przywiązały się do wychowawców, tuliły i przesyłały całusy”. Oczywiście wiadomo, że są tu na krótko. Zaraz jadą do kolejnej placówki w województwie. Przydzielono im miejsce w rodzinnym pogotowiu opiekuńczym w małym mieście. Kierowniczka pogotowia kończy już kurs na

rodzinę zastępczą, więc będzie miała narzędzia do obcowania z sierotami przez czas dłuższy niż trzy miesiące.

Poniedziałek, 2 lipca

Od zeszłego poniedziałku w Komendzie Powiatowej Policji w Będzinie trwa dyskusja o tym, jak to możliwe, że w maju 2010 roku dzielnicowy M. zobaczył Szymona, choć ten już nie żył. Cuda? M. upiera się, że był na Piłsudskiego, widział dziecko, choć w spodnie czy pieluchę nie zaglądał, bo prawa nie miał. Dlatego napisał potwierdzającą notatkę. Rodzice Szymona przysięgają, że nikogo nie przyjmowali. W tej akurat sprawie są zgodni.

Materiał dowodowy jest tak rozbieżny, że nie można postawić zarzutu niedopełnienia obowiązków służbowych. Postępowanie zostaje umorzone.

Kurator i psycholog podjeżdżają do Sarnowa, żeby spakować córeczki Beaty i Jarka. Czeka je trzeci etap wędrówki, tym razem do rodziny zastępczej. Pani kurator wybrała rodzinę z bardzo ładnym domem z ogrodem. Małżeństwo nie kłóci się między sobą, ma trójkę dzieci, jedno w wieku młodszej dziewczynki.

Dzieci znów zakładają plecaczki i wsiadają do samochodu.

„Umieszczenie odbyło się w trybie spokojnym” – melduje z satysfakcją pani kurator.

Niedziela, 1 lipca – poniedziałek, 13 sierpnia

Katowice

Jeśli jeszcze nie w tej chwili, to – funkcjonariusze z Katowic są pewni – za kilka dni uwagę mediów przyciągnie niecodzienna koincydencja. Oto do aresztu śledczego w Katowicach trafia niespodziewanie Katarzyna W., mama małej Madzi z Sosnowca. Biegli zrozumieli, że jej córka nie zmarła z powodu nieszczęśliwego wyślizgnięcia, ale z powodu celowego uduszenia, zaplanowanego z przerażającą dokładnością. Teraz Katarzyna jest podejrzana o morderstwo z premedytacją.

W każdym razie w jednym areszcie w Katowicach znajdują się dwie obecnie najbardziej znane polskie dzieciobójczynie. Z tym że Katarzyna to celebrytka penitencjarna, a Beata to jeszcze szara myszka, chociaż media

poświęcają jej sporo czasu. Katarzyna zdecyduje się wkrótce na sesję zdjęciową w kostiumie kąpielowym na koniu. Pokaże ją jeden z tabloidów. Beacie jeszcze daleko do takiej ekstrawagancji.

Panie nie są osadzone w jednej celi, ale podczas półtoramiesięcznego pobytu Katarzyny spotykają się w czasie zmiany grup na spacerunku, czasem w kantynie. Ciągnie je do siebie, choć nie mają okazji rozmawiać w samotności.

W każdym razie Beata zyskuje pewność siebie. Jest jej to potrzebne po ciosie, który zadał jej Jarosław.

O tym, że jej Jarek nie dotrzymał przyrzeczenia i zmienił strategię kryzysową, Beata dowiaduje się z telewizora zawieszzonego w celi. Ona będzie odpowiadać za morderstwo, on – za nieudzielenie pomocy synkowi. Już wcześniej miała podejrzenia, że coś nie gra. Podczas transportu na jedno z przesłuchań usłyszała od któregoś z policjantów: „Ale cię twój chłop załatwił”.

Teraz wie na pewno.

Sobota, 7 lipca

To jest mój drugi list. Pierwszy był z wielkiej miłości, ten jest z wielkiego żalu.

Przez ciebie nasze dzieci są w domu dziecka. Jak mogłeś to zrobić? Przekreśliłeś siedem lat naszego życia. Twoja matka dwa dni się nimi zaopiekowała. Jak one to przeżyją. Sam wiesz, jaka jest Basia, nawet do kąpieli dwa razy mnie wołała. Serduszka im pękła.

Jak mnie tak nienawidziłeś, to po co to ciągleś, to było gówno, a nie miłość. Nigdy nie zapomnę twoich oczu, jak wychodziłeś z nyski do aresztu.

Już wtedy mnie sprzedałeś.

List nie dociera do adresata, ponieważ zatrzymuje go służba więzienna, ale od tego dnia Beata zwraca się do konkubenta per „pan Jarosław”.

Niedziela, 8 lipca

Kochany Tatusiu.

Znasz mnie, niczego takiego nie zrobiłam, co mówią w mediach. Żałuję, że cię nie posłuchałam co do Jarka. Miałaś rację, jak we wszystkim.

Twoja Beata

Kochana córeczko

Przepraszam cię, nigdy nie chciałam misiowi zrobić krzywdy. Zostaliście tylko wy, jestem sama. Co do zdarzenia. Ja nic nie zrobiłam. Jak będziesz w stanie mi wybaczyć, to proszę o odpisanie.

Wyślę ci w następnym liście talon i co potrzebuję, tzn. bluzkę, majtki, skarpetki. Przeczytaj dokładnie, bo nie możesz go wyrzucić. Część II talonu wsadzić do paczki, a III nakleić na paczkę. Chyba że mi przywieziesz na bramę. To wtedy dajesz te kartki na bramie.

Potrzebuję też kasę, bo tu trzeba samemu kupować, wiem, że ty też nie masz, więc proszę dziadka.

Wybaczcie.

Kocham was bardzo, tęsknię i myślę, nie słuchaj TV.

Prawdę znam tylko ja i Jarek.

Wtorek, 10 lipca

Kiedy do Sądu Rejonowego w Bielsku-Białej trafia prośba Beaty o wyznaczenie obrońcy z urzędu, pierwszy na liście jest mecenas Michał Egiertowski, prowadzący w tym mieście kancelarię.

Faks z zarzutami i nazwiskiem klientki przychodzi o poranku. Beata z Będzina, artykuł 148. Krótki research za pomocą wyszukiwarki Google wystarczy, żeby Egiertowski wiedział, co to za sprawa: medialna, czasochłonna, trudna do wygrania, z kilkuletnią perspektywą.

Startuje z pozycji gorszej niż obrońcy Jarosława, na którym ciąży lżejszy zarzut.

Obaj, Egiertowski i jego współnik, są ojcami. Sprawa będzie wymagała odporności psychicznej. Zwłaszcza że opinia publiczna już domaga się krwi. Ale obrońcy z urzędu nie mogą wybierać: kradzież słoika – tak, a dzieciobójstwo – nie.

Pierwsze założenie adwokatów jest takie, żeby sposobu życia klientów nie porównywać z własnym. W ich rodzinach nie byłoby przecież możliwe, żeby babcie dawały się latami mamić prymitywnymi wyjaśnieniami co do miejsca pobytu dwuletnich wnuków, rodzice uciekali od dzieci albo nie reagowali na wyjącego z bólu synka. W każdym razie adwokaci tak właśnie myślą o sobie.

Powtarzając w myślach te ustalenia, umawiają się z Beatą, która chciałaby odpowiadać z wolnej stopy. Katarzyna Waśniewska podpowiedziała, że obecność małych córek może poruszyć wrażliwość sądu.

Pozostaje nierozwiązany problem: jakie wartości przyświecały w życiu rodzinie tego dziecka?

Czwartek, 19 lipca

Chwilę po dziesiątej rano pod kamienicę na Piłsudskiego w Będzinie podjeżdżają radiowozy policyjne. Jest ich dziesięć. W jednym z nich siedzi Jarosław. Z Cieszyna dojeżdża Jacek Hutyra. Spóźniony, ponieważ będzińska drogowka chce mu wlepić mandat za złe parkowanie.

W czasie wizji lokalnej Jarosław ma pokazać, jak Beata zabijała dziecko i pod jakim kątem widział to Jarosław. Kolejno: kąpiąc córki, paląc papierosy, myjąc podłogi. Czynności wzbudzają emocje u Jarosława, policjantów, a na zewnątrz u mieszkańców Piłsudskiego, którzy zbierają się przed zamkniętą bramą kamienicy. Prokurator Józwiak jest zdziwiony. O tym, że Jarosław ma opuścić areszt, dał znać tego samego dnia rano, najpóźniej, jak mógł, żeby nie wywołać sensacji. Kto zdążył zawiadomić dziennikarzy?

Teraz pod domem zebrało się pewnie pięćdziesiąt osób. Wykrzykują niecenzuralne słowa pod adresem schodzącego do wyjścia, grożą. Żeby Jarosław mógł bez szwanku odjechać do aresztu, policjanci tworzą kordon. Ludzie z Piłsudskiego wygrażają również policjantom, że chronią morderców. Jednemu z funkcjonariuszy przechodzi przez głowę nieprofesjonalna myśl, żeby ten kordon na chwilę rozszczelnić. Ma dziecko w wieku zmarłego.

Piątek, 20 lipca

Sąd oddała wniosek Beaty, ale na jej uporczywe prośby córki, pod opieką matki zastępczej, odwiedzają areszt w Katowicach. Wizyta trwa godzinę. Basia siedzi mamie na kolanach, Joasia rysuje domki na kartce z bloku.

– Córeczko, jak tam w szkole? – pyta Beata.

– Dobrze.

Dzieci wracają autem do domu zastępczego. Następnego dnia młodsza córka budzi się w nocy i robi kupę na środku pokoju w domu zastępczym.

Poniedziałek, 23 lipca

Wsparta przez Egiertowskiego Beata zgłasza się do Arkadiusza Józwiaka w sprawie zmiany wyjaśnień. Przedtem mówiła to, co kazał jej mówić konkubent. Teraz powie, jak było naprawdę.

Szarpał Szymonem cały tydzień. W środę ścisnął mu twarz, uderzył go w brzuch, bo płakał. Słowem: pobił, że krew leciała. Chłopak miał plamy na

plecach, więc Jarosław kazał jej smarować te plecy specjalną maścią. Było słabo, bo dziewczynki też płakały. W czwartek wmusił w Szymona roztwór soli. Po tym było tylko gorzej.

W piątek chłopiec miał gorączkę, nie spał i nie jadł. Trzepało nim, ale starał się nie rzucać w oczy. Przykurczał nóżki, nie dało się rozprostować. W sobotę rano płakał, więc jeszcze raz dostał w brzuch od taty, aż cały zsiniał. Wtedy kazała Jarosławowi zanieść go do pokoju. Do domu weszła teściowa, jak wyszła po godzinie, to już nie oddychał. Słowem: umierał trzy dni.

Słuchając relacji Beaty, obrońcy dochodzą do wniosku, że zwykła odmowa wyjaśnień pozbawiłaby prokuratora możliwości udowodnienia winy któregokolwiek z rodziców. Gdyby Beata i Jarek zamilkli, byłiby już wolni.

Czwartek, 26 lipca

Twoje kłamstwa nie znają granic. Dzieciobójców na mojej celi nie gnębią. Mam telewizor i wszystko, co potrzebne do życia kobiecie. Pisząc ten list, popijam kawę papierosa. Wcinam owoce. Poprawiłam się od cery aż po wagę. Odkrywam siebie na nowo. Jak mogłeś wypominać mi, że zużywam za dużo prądu, prostując włosy?

Piątek, 27 lipca

Dzięki uprzejmości i samochodowi służbowemu dziennikarzy telewizji informacyjnych dziadek Mieczysław oraz przyrodnie rodzeństwo Szymona Marzena i Jacek mogą odwiedzić grób w Cieszynie, a w ramach rewanzu wystąpić w telewizji. Nie ukrywają łez wzruszenia. Mieczysław zapewnia przed kamerą, że będzie chciał przenieść grób do Mysłowic, żeby go częściej odwiedzać. Przynajmniej po śmierci.

Do Cieszyna za daleko.

Wtorek, 31 lipca

Kochana Marzenko

Na celi, jak już pisałam, jesteśmy we dwie, Gosia jest niepełnosprawna, miała operację na kręgosłup, pomagam jej we wszystkim. Bardzo się cieszę, że byłeś u Szymusia w Cieszynie. Mam nadzieję, że się nim zaopiekujecie i że go przeniesiemy na Ławki.

Deklaracja dziadka, który chce przenieść grób wnuczka, odbija się po emisji programu głośnym echem wśród cieszynian. Ogólny ton tych reakcji jest

taki: mieliście czas, żeby za nim tęsknić, kiedy żył i cierpiał. Teraz Szymon jest nasz. Siłą go nie zabierzecie.

Piątek, 3 sierpnia

Pani kurator przy III Wydziale Sądu Rejonowego w Będzinie czyta list od opiekunki, która relacjonuje postępy Joasi i Basi w środowisku zastępczym. Dziewczynki, jak zapewnia, wychodzą na prostą.

Wcześniej bały się dosłownie wszystkiego. Basia, kiedy upuściła szklankę – uciekała pod stół i się chowała. Spytałam dlaczego. Odpowiedziała, że za takie przewinienia dostawała od mamy i taty pasem.

Wiele rzeczy jest dla nich nowe. Na przykład grzecznościowe zwroty, umiejętność samodzielnego jedzenia posiłków, mycie, szczotkowanie zębów, jazda w foteliku samochodowym.

Reagują z zaskoczeniem na centrum handlowe lub uliczne reklamy.

Kiedy opiekunka pyta dzieci, czy chcą chodzić na wizyty do rodziców, kręcą głowami, nie chcą. Zakład karny je przeraża. Obawy potwierdza konsylium w powiatowym centrum pomocy rodzinie. Nie można prowadzić dziewczynek do matki ani ojca do zakładu karnego. Za bardzo przeżywają. Może specjalne pomieszczenia do widzeń z dziećmi?

Środa, 5 września

Prokurator Józwiak odmawia Beacie wyjazdu na grób Szymona.

Wyjazd radiowozem nie wydaje się zasadny. „Miała pani dwa lata, żeby zobaczyć, gdzie syn leży”.

Czwartek, 6 września

Józwiak chciałby przesłuchać Joasię. Dziewczynka ma już sześć lat i może pamiętać swojego brata albo chociaż szczegół z ostatnich dni jego życia. W tym celu prokurator składa wniosek o przesłuchanie dziecka. Prosi sędzinę, by pojechała do domu zastępczego razem z psychologiem. Dzięki obecności sędziny dziewczynka nie będzie miała obowiązku powtarzać zeznań podczas rozprawy. Joasia musi wyrazić zgodę na rozmowę z nowymi paniami. Zgadza się, psycholog obserwuje.

Szymuś jest w szpitalu, to jest mój brat. Nie wiem, dlaczego zachorował. Ja się z nim bawiłam, ale nie wiem w co.

Nie chcę mówić, co robiła mama i tata, jak byłam niegrzeczna. Nic nie chcę mówić. Tęsknię za mamą, za tatą i za Szymonem.

Psycholog zauważa, że gdy Joasia mówi o chorobie brata i o pobycie w szpitalu, zaczyna gwałtownie pocierać piąstkami oczy, a jej twarz pokrywa się rumieńcem. Po kilku minutach mówi, że nic nie pamięta.

Według profesjonalistów nieświadomie uruchamia klasyczne mechanizmy obronne.

Czwartek, 20 września

Po południu Joasia siedzi na kanapie w domu zastępczym. Opiekunka przegląda gazety.

– Tata bardzo zbił Szymka w brzuszek.

Opiekunka sięga po kartkę, by napisać sprawozdanie dla kuratorki:

„Podobnie jak psychologowie uważam, że dzieci powinny być skierowane do adopcji. Powinny unikać kontaktów z rodzicami i wyprzeć wszystko, co złe”.

Na razie kontakt z poprzednim życiem zapewnia im babcia Eugenia, która co drugi weekend spędza z ukochanymi wnuczkami. Opowiada im o kochającym tacie, który zaraz, w miarę możliwości, weźmie je do szczęśliwego domu. Błefuje.

Październik

Ponieważ zeznania oskarżonych są dalece niespójne, prokurator zarządza konfrontację. Na kilku kolejnych spotkaniach, siedząc naprzeciwko siebie, Jarek i Beata ustalają wspólnie, jak właściwie wyglądał ich związek.

Jarosław: Miała w nosie swoje dzieci. Pozwalała, żeby Marzena, mając czternaście lat, przez kilka dni mieszkała z chłopakiem z drugiego końca Polski poznanym przez internet. Najstarszą córkę Agatę skopała pod płótem. Najbardziej kłóciła się z synem Robertem. On uciekał do dziadka.

Beata: Córka mnie nie słuchała i chciała się popisać. Mama się wystraszyła i wezwała policję. Agata z kolei mnie popchnęła. Dodam, że Jarosław też uderzył Agatę w twarz, aż tata musiał interweniować.

Jarosław: Chciałbym powiedzieć, że przed powyższym zajściem byłem u Beaty w Mysłowicach. Nie spaliśmy, bo Joasi wyrzynały się zęby i miała gorączkę. Koleżanka przyszła do najstarszej córki Beaty z samego rana, piły wino, koleżanka ta była prawdopodobnie ostro naćpana. Wtedy zrozumiałem, że niemowlę nie może mieszkać w patologii. Zabrałem córkę i Beatę. W tamtym domu nikt Joasi nie lubił. Mówili, że będzie ślepa i z zespołem Downa. Musiałem się nimi zająć.

Beata: Potwierdzam, że pan Jarosław przywiózł mi kotlet schabowy, ale był zrobiony przez jego matkę, nie przez niego.

Jarosław: Raz była sytuacja, że Beata wyskoczyła z nożem i powiedziała, że jak ją zdradzę, to mi utnie jaja. Kiedyś otrzymałem od stażystki w pracy dwa pudła klocków. Ona nie chciała wierzyć, że to za darmo. Chciałbym dodać, że ona na ból zębów przyjmuje ketonal i tramal, zamiast pójść do dentysty.

Beata: Wzięłam za darmo psa przez portal Tablica.pl. Miał na imię Bella, ale po pięciu miesiącach Jarek kazał mi go wynieść. Przedtem bił tego psa i parę razy założył mu nawet worek na śmieci, nie wiem po co. Kiedyś kopnął go tak, że parę minut nie umiał chodzić.

Jarosław: Jak ją zapytałem, dlaczego tak nienawidzi swoich dzieci, powiedziała: „Skąd mam umieć kochać, skoro jedna matka mnie oddała, a druga nienawidziła?”.

Beata: Jesteś beznadziejny, matko jedyna.



Środa, 21 listopada

Szanowna telewizjo,

czy jesteście mi w stanie pomóc, żebym się dowiedziała, gdzie znajdują się moje córeczki i jak się czują? Jestem w areszcie, jestem mamą Szymonka znalezionego w stawie. Wysłałam już siedem listów do dziewczynek i nie mam odpowiedzi. Niewiedza ta doprowadza mnie do rozpacz. Chciałabym rysunek i może zdjęcie, na którym są obie moje żabki. Czy możecie mi przysłać?

Czwartek, 29 listopada

Sąd opiekuńczy w Będzinie postanawia ograniczyć władzę rodzicielską Beaty i Jarosława.

Rzecznik praw dziecka Marek Michalak, który w kwietniu 2010 roku interesował się losem jednego, bezimiennego członka tej rodziny, teraz w naturalny sposób interesuje się losem jego sióstr. Uważa, że postanowienie sądu jest nieadekwatne do sytuacji rodziców. Mówiąc wprost: rodzice raczej nie opuszczą aresztu przez najbliższe lata, więc dziewczynki nie mają szans na szczęśliwą rodzinę.

Czwartek, 20 grudnia

Rzecznik praw dziecka składa apelację od postanowienia sądu rodzinnego. Według rzecznika zebrane dowody uzasadniają raczej pozbawienie władzy rodzicielskiej. Dziewczynki powinny stanąć w kolejce do adopcji.

W tym samym czasie mama Jarka zwraca się do sądu o pomoc w odzyskaniu opieki nad Joasią i Basią. Zrobi wszystko: pójdzie na kurs rodziny zastępczej, stanie na głowie. Kiedy Jarosław opuści zakład karny, wychowa dziewczynki na porządnych ludzi. Jest w głębi duszy dobrym, zranionym człowiekiem.

Sytuację mamy Jarka komplikuje fakt, że na przejęcie opieki przez „tę panią” nie zgadza się Beata. Dziewczynki pozostają w rodzinie zastępczej.

2013

Piątek, 28 czerwca

W Bielsku-Białej prokurator Arkadiusz Józwiak kończy pisać osiemdziesięciostronicowy akt oskarżenia przeciwko Beacie i Jarosławowi. Nie ma żadnych wątpliwości, że powinni odpowiadać za zabójstwo.

Doktor Christian Jabłoński, biegły z zakładu medycyny sądowej Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, potwierdził, że do śmierci dziecka przyczyniło się kilka urazów, z tym że ważniejsze są ciosy zadane przez Jarka. To, co według Beaty zrobił Jarosław, koresponduje z ustaleniami poczynionymi w trakcie sekcji zwłok.

Z aktu oskarżenia:

Z końcem lutego chłopczyk mierzył 79 cm, ważył 11 kilogramów. Znajdował się w wieku, w którym człowiek jest całkowicie zależny od rodziców i to do nich należy obowiązek udzielenia mu pomocy.

Rodzice ukrywali fakt, że spowodowali poważne uszkodzenia jego ciała, przed jedyną osobą, która utrzymywała z nim regularny kontakt. Byli jedynymi osobami, które mogły śmierci dziecka zapobiec. Zamiast tego czekali na jego śmierć, chociaż bezzwłoczne udzielenie pomocy stwarzało szansę na uratowanie zdrowia i życia dziecka.

Oboje, nielegalnie pobierając zasiłki, narazili miasto Będzin na straty wynoszące cztery tysiące złotych.

Według opinii sądowo-psychiatrycznej u żadnego z rodziców nie stwierdzono poważnych deficytów intelektu ani upośledzenia umysłowego. Oboje byli poczytalni.

Józwiak domaga się piętnastu lat pozbawienia wolności dla obojga.

Piątek, 19 lipca

Jeśli rodzice mieli nadzieje na zatrzymanie przy sobie najmłodszych córek, orzeczenie sądu drugiej instancji, który przychyliła się do apelacji rzecznika Michalaka, rozwiewa je zupełnie. Jarosław i Beata tracą władzę rodzicielską.

Październik

Okazuje się, jak dalece niezadowolony jest Jarosław.

Straż więzienna przejmuje grypsy, które miały dotrzeć do Eugenii za pośrednictwem tajemniczej osoby nazywanej przez Jarosława Tatianą. Nielegalne listy przekazuje podczas swojego widzenia zaufany kolega więzień. Osoba odwiedzająca adresuje kopertę i wrzuca do skrzynki.

Listy są dwa i zawierają instrukcje. Jarosław tłumaczy mamie, jak zeznawać, żeby uratować dziewczynki. Córki są dla niego najważniejsze.

Mamo. Nie przyznawaj się do tych listów. Nikomu nie mów, że je dostałaś.

Pamiętaj: nie dawałaś tej szmacie ketonalu, ale widziałaś, że brała tabletki, bo ją zęby bołą. Tramal też brała. Mówiłaś jej, żeby tyle nie brała, tylko poszła do dentysty. Pamiętaj, że biła psa Sarę. Pies bardzo się jej bał. Gdy pies pojechał, Joasia, Szymuś i ja byliśmy tacy smutni.

Nigdy nie zostawię dziewczynek, szmata musi gnić w więzieniu.

P S Powtarzaj dziewczynkom, że chodziłem z nimi na spacer, Szymusia nosiłem na brzuchu, ogólnie byłem lepszy od tej szmaty. Tata nigdy na nich nie krzychał, to szmata krzychała.

Jak ciebie nie było, szmata szarpała Szymka, chwyciła za buzię.

Pozdrawiam, Jarek

Drugi list zawiera więcej szczegółów technicznych:

Mamo, dla lepszego bezpieczeństwa pamiętaj, że naszym znakiem, że dostałaś ten list, będzie to, że gdy popatrzę na ciebie za pierwszym razem, zdejmiesz okulary, tak jakbyś chciała je przetrzeć. Wtedy będę wiedział, że wszystko OK.

I jeszcze:

Teraz pamiętaj: dziewczynki wypyują o mnie, a o tę szmatę nie. Dziewczynki rysują dla mnie liściki.

Adwokat mi odradza, ale ja chcę zniszczyć prokuratora. Oczywiście tę szmatę muszę zniszczyć za to, co zrobiła, i za to, że mnie ciągnie za sobą. I że dziewczynki cierpią. A za dziewczynki będę straszny.

Nikt nie może się dowiedzieć o tym i o tamtych listach.

Słuchaj uważnie, powiedziałem Ci: ciekawe, czy Beata nie doprowadziła do tego ukruszenia, przecież często biła Szymka po tej lewej ręczce.

Mamo, ja nie krzychałem po dzieciach, tylko głośno mówiłem. Pamiętaj, to ona często ci mówiła, że Szymek jest leniwy, a ja zwracałem ci uwagę.

Mów dzieciom, że to ona była zła, jest zła i jest kłamcą.

Musi nam się udać

Na koniec po ludzku wskazuje listę potrzeb:

kawa rozpuszczalna i fusiata,

herbata owocowa i czarna, ptasie mleczko z Lidla waniliowe,

jakieś czekolady, ciastka, żelki, landryny, draże mleczne i czekoladowe lub kakaowe, cukierki mleczne, toffi, dropsy, cienkie parówki, boczuś, ser żółty, paluszki, płatki takie jak ostatnio, w Biedronce są takie rurki jak paluszki, a w środku nadzienie czekoladowe.

– Moja praca nie zawsze jest komfortem – mówi obrońca Jarosława Andrzej Hermann po lekturze przechwyconych listów. Ale powtarza, że nie może nazwać klienta człowiekiem patologicznym, a jedynie zdesperowanym, by odzyskać dzieci.

Obrońcy Beaty pragną zauważyć, że nie wiadomo, czy niedoręczone listy są całością matczyno-synowskiej korespondencji, czy jedynie jej częścią. Psia lojalność matki Jarka wcale ich nie dziwi. Matki skazanych synów są najliczniejszą i najsilniejszą emocjonalnie grupą społeczną w całym systemie penitencjarnym.

2014

Wtorek, 4 listopada

Sąd ogranicza wizyty matki Jarka u dziewczynek, ponieważ według sądu powinny one zacząć całkiem nowe życie.

Już wiedzą, że na Boże Narodzenie ubiera się choinkę. Joasia przestała kraść w szkole. Basia jest dziewczynką otwartą i nie ma zahamowań. Pochwaliła się w przedszkolu, że jej tata zabił braciszka.

Wtorek, 11 listopada

Kochana telewizjo.

Czy pomożesz mi odnaleźć moje córki?

Zostałam ukarana przed wyrokiem sądu. Czy to może być prawda? Czy tak działa sprawiedliwość?

Bardzo proszę.

Beata

2015

Wtorek, 15 września

Jacek Marczewski otwiera gazetę i nie może uwierzyć w to, co czyta. Wczoraj zapadł wyrok w sprawie o zabójstwo Szymona. Sędzia, cieszy się dziennikarz, nie uległ presji ludu, który chciał krwi. Beata zostaje skazana na pięć lat, Jarosław na dziesięć. Oznacza to, że za rok Beata wyjdzie na wolność, a za dwa lata Jarosław może się starać o przedterminowe zwolnienie. Policjant uważa, że wyrok to policzek dla Józwiaka.

Marczewski brał udział w głośnym śledztwie mordercy z Jastrzębia. Mężczyzna podpalił dom, w którym spali jego żona i pięcioro dzieci. Upewnił się przedtem, że nie będą mogli opuścić płonącego domu. Zamknął zewnętrzne żaluzje, a potem udawał zrozpaczonego wdowca. Dostał dwadzieścia pięć lat, a przecież mógł być sądzony za nieostrożne obchodzenie się z zapalkami.

Poniedziałek, 16 listopada

Jeśli chodzi o sprawę Szymona, prokurator Józwiak oraz obrońcy Beaty i Jarosława zapowiadają, że odwołają się od wyroku.

2016

Paweł Łotocki, rzecznik Komendy Powiatowej Policji w Będzinie, często zastanawia się nad przyczynami tragedii, ale pragnąłby, żeby to zagłębiowskie miasto nie było postrzegane wyłącznie przez pryzmat sprawy Szymona. Ani przez pryzmat wrażenia funkcjonariuszy z Bielska-Białej i Cieszyna, którzy jadąc na Górny Śląsk i do Zagłębia, uświadomili sobie, że przekraczają granicę dwóch światów.

Ani nawet nie z perspektywy sąsiedniego Sosnowca, chociaż rzecznikowi robi się przykro, kiedy przejeżdża przez stolicę Zagłębia i widzi ruchliwą ulicę Modrzejowską, kawiarnie na Marchlewskiego, rozświetlone centrum handlowe Plaza. A potem, kiedy wjeżdża do Będzina od strony Środuli, uświadamia sobie widać, że tutaj, na granicy miast, można kręcić filmy wojenne, nie inwestując w obróbkę komputerową. W centrum miasta po godzinie siedemnastej też jest raczej pusto i często groźnie.

Trzy największe zagłębiowskie miasta: Dąbrowa Górnicza, Będzin i Sosnowiec, doświadczyły przemysłowego boomu i poprzemysłowego upadku – zamknięte huty, kopalnie i druzgocące bezrobocie.

W 2012 roku cała Polska patrzyła, jak Sosnowiec i Będzin przeżywają swoje najnowsze traumy. W Sosnowcu mieszkała Katarzyna, mama Madzi, w Będzinie rodzice Szymona.

Media pokazywały odrapane kamienice i skupiały się na niepracujących obywatelach z piwem w rękę, całodobowo podpierających swoje domostwa.

Miasta łączy zagłębiowska historia, a dokładniej to, że wielu obywateli wciąż nie czuje się u siebie lub jest to obecność nerwowa i niestabilna. To, przyznaje rzecznik, musi wpływać na psychikę człowieka. Budowaniu tożsamości nie sprzyja fakt, że reszta kraju z nonszalancją nazywa Zagłębiaków Ślązakami. Problemy pojawiają się nawet przy rozdzielaniu funduszy europejskich na kultywowanie tradycji. Województwo śląskie nie liczy się specjalnie z potrzebami kulturowymi Zagłębia.

Rzecznik Łotocki nie chce spekulować na temat związku najnowszej historii Zagłębia z losem Madzi i Szymona. Nie jest ani historykiem, ani pisarzem, ani apologetą, jest jedynie policjantem i obywatelem.

Pisarzem czerpiącym z lokalnej historii jest Zbigniew Białas, na co dzień profesor anglistyki Uniwersytetu Śląskiego, pisarz i tłumacz. Rozentuzjasmowana krytyczka z „Dziennika Zachodniego” napisała, że profesor jest dla Zagłębia tym, kim Larsson dla Sztokholmu i Krajewski dla Wrocławia. Napisał kryminalną trylogię: *Korzeniec*, *Puder i pył* oraz *Tal*, czyli kroniki sosnowieckie, na które Zagłębie czekało od lat. Akcja zaczyna się w przededniu I wojny światowej w Sosnowcu. W dalszych częściach pojawiają się znane postaci związane z miastem: Władysław Szpilman, Jan Kiepura oraz Edward Gierek.

Sosnowiec Białasa to najdalej na zachód wysunięte miasto Imperium Rosyjskiego, rozwijające się centrum budowanego od połowy XIX wieku zagłębia przemysłowego i kluczowy węzeł kolei warszawsko-wiedeńskiej, tygiel społeczny i obyczajowy. Było położone przy granicy trzech zaborów, co ukształtowało jego charakter.

Profesor może zrozumieć uczucia Hutyry i Józwiaka, ponieważ rozumie, że w przeciwieństwie do Krakowa i Sandomierza, których piękno widać z okien samochodu, do urody Zagłębia należy podejść bardziej kompleksowo. Odtwarza je z niepozornych artefaktów – na przykład ze starego porcelanowego kafla odnalezionego w sosnowieckiej kamienicy – oraz z wyobraźni historycznej.

– Przez dekady ludzie przeprowadzali się tutaj, ponieważ otwierano kopalnie i dlatego, że na terenie przygranicznym łatwo żyło się z przemytu. W każdym cesarstwie obowiązywało inne cło, co sprzyjało spekulacjom. Ludzie zostawali górnikami, jeśli byli głupi i robotni, a jak byli mądrzy albo sprytni, to handlowali przez rzekę.

Zjeżdżali się z trzech zaborów, wyznawali co najmniej cztery religie, byli różnicowani klasowo. Porzucali swoje korzenie, ruszali do miasta, tutaj niewiele ich łączyło. Przyjeżdżali i wyjeżdżali. Przyjęło się, że Zagłębiak to spryciarz, ale zagłębiowskiego spryciarza nie zmitologizowała opowieść

miejska. Kapele uliczne nie śpiewają rzewnych piosenek o sympatycznych nożownikach z Klimontowa, Sielca, Pogoni (są to obecnie dzielnice miasta), Będzina czy Dąbrowy Górniczej. Powody są proste.



– Gdyby na początku ubiegłego stulecia jakiś grajek wyszedł z bałajką, toby mu ją ukradli – podsumowuje Białas.

Zagłębie to było Klondike, cierpiało na nieleczone gorączkę złota, wygrywał najsilniejszy, nie najbardziej empatyczny.

Na przełomie XIX i XX stulecia Zagłębie było najbardziej uprzemysłowioną częścią imperium z silnym partyjnym ruchem robotniczym. Przydomek „Czerwone” przyłgnął do Zagłębia po wielkich strajkach w 1905 roku, długo przed Edwardem Gierkiem, popularnym w Zagłębiu pierwszym sekretarzem PZPR, który faworyzował rodzinne strony.

Sosnowiec, mówi Zbigniew Białas, wykształcił jednak swoją inteligencję. Polską, niemiecką, rosyjską, francuską i żydowską. Przemieszana, zamieszkiwała kamienice w centrum, które z racji urody nazywano Małym Petersburgiem.

Mieszkająca w Siewierzu rodzina Białasa, ilekroć wspominała ciotkę z Sosnowca, opowiadała o eleganckiej damie w koronkowych rękawiczkach, która znała Jana Kiepurę i podróżowała do opery w Wiedniu.

Natomiast Będzin miał całkiem inną historię, która przesądziła o losie miasta. Od dwóch stuleci aż do 1943 roku w centrum Będzina nie mieszkał żaden Polak. Centrum było żydowskie. Ludność polska żyła na obrzeżach i w sąsiednich wioskach. Będzin nazywano Jerozolimą Północy.

Białas:

– Kiedy w 1943 roku zlikwidowano getto, zlikwidowano miasto. Zniknęło trzydzieści tysięcy mieszkańców, osiemdziesiąt procent ludności. Po wojnie wróciło może pięćdziesiąt osób.

W ich domach mieszkali już obywatele z przedmieść. Kto sprytniejszy, zajmował lepszą kamienicę. Do innych władze powojenne kwaterowały chętnych do pracy w przemyśle.

Do dziś, jeśli człowiek kupuje stary dom w Będzinie, najpierw przychodzi z wykrywaczem metali, żeby szukać żydowskich skarbów. Legendarne żydowskie skarby przez wszystkie powojenne lata były jedynym wspomnieniem o przedwojennej i wojennej historii.

O tym, że w Sosnowcu czy w Będzinie było getto, można przeczytać w komiksie *Maus. Opowieść ocalałego* amerykańskiego rysownika Arta Spiegelmana. Nie można było za to usłyszeć o tym w zagłębiowskiej szkole.

Przywracaniem pamięci zajmują się ochotnicy.

Pierwszym, który pochylił się nad tożsamością miasta, był Adam Szydłowski, społecznik i entuzjasta.

Historią żydowskiego Będzina zajmuje się od dwudziestu lat, a siedem lat temu (był wtedy kierownikiem urzędu stanu cywilnego) kolejny raz podjął próbę szokowego uświadomienia mieszkańcom, jaka jest historia ich miasta i co z tego wynika dla współczesnych. W ramach popularnych rekonstrukcji historycznych odtworzył likwidację getta będzińskiego. Uczniowie grali wypędzanych Żydów, a profesjonalne grupy rekonstrukcyjne i część mieszkańców – esesmanów.

Ludzie nie mogli uwierzyć w to, co widzą.

Rok temu w centrum miasta otworzył Café Jerozolima – kawiarnię, do której wchodzi się jak Alicja do Krainy Czarów. Szydłowski odtworzył wystrój i zapach kawiarni sprzed stulecia. Jerozolima, choć od czasu do czasu obrzucana na zmianę jajami i puszkami z farbą, jest jedynym lokalem w mieście czynnym do dwudziestej pierwszej.

Szydłowski tłumaczy ból Będzina, a zwłaszcza jego centrum.

– Do pustego miasta wprowadzili się ludzie z podbędzyńskich wiosek i robotnicy spod Kielc, zwabieni pracą w przemyśle. Wkrótce kamienice, nieremontowane ze względu na niepewny status własnościowy, okazały się mniej atrakcyjne niż centralnie ogrzewana wielka płyta.

Kto mógł, przeprowadzał się do nowych bloków, które budowano dla załogi Huty Katowice. Przede wszystkim na Syberce. Do centrum wracali nieudacznicy z kwaterunku.

Szydłowski jest bezwzględny.

– Cięży nad nami odium zaboru rosyjskiego, legitymizowane dziadostwo i krętaćtwo.

Tak zdegradowała się Jerozolima Północy.

Miarą mentalności jest dla niego stan windy lub klatki schodowej na Syberce, „osrywanej i podpalanej za społecznym przyzwoleniem”. Na szczęście ostatnio trochę mniejszym, za sprawą domofonów i kamer.

Dlaczego nikt tu nie dba? Bo przekleństwo miasta to wieloaspektowa tymczasowość połączona z narastającą biedą. Skutkiem jest obojętność.

– Zamknięte huty i kopalnie wykształciły pokolenia ludzi niezdolnych żyć bez pomocy państwa.

Które niewiele w zamian wymaga.

Kiedy Szydłowski odkrył na głównej ulicy zabytkowy fronton eleganckiej kamienicy, odmalował go zupełnie sam, a nikt z sąsiadów nawet nie spytał, co odmalowuje.

– To nie ich miasto, nie mają tu grobów pradziadka, jest im to obojętne.

Podobnie, uważa Szydłowski, było ze sprawą Szymona.

Tak się składa, że Adam Szydłowski jest obecnie zastępcą dyrektora będzińskiego MOPS-u. Sprawę Szymona pamięta, ale nie uważa, by pomoc społeczna mogła być remedium na problemy społeczne jakiegokolwiek miasta.

– Pracownik socjalny nie może działać jak kamera czy monitoring. Nie ma obowiązku wiedzieć, co się dzieje w mieszkaniach pięćdziesięciu ośmiu tysięcy mieszkańców, nie może być odpowiedzialny za to, jak żyją ludzie w mieście. Pierwszym ogniwem systemu pomocy społecznej powinni być sąsiedzi. Jeśli są obojętni, to znaczy, że taki wyznają system wartości. Ja tego nie zmienię. Przetrwa najsilniejszy.

Prawdziwym lekarstwem na problemy społeczne centrum miasta byłoby według Szydłowskiego usunięcie kłopotliwych mieszkańców z historycznych pożydowskich kamienic. Tylko tak można przywrócić ich świetność.

Gdzie kłopotliwych wysłać – nie wiadomo.

2017

1 czerwca Sąd Okręgowy w Katowicach uznał, że Beata i Jarosław dopuścili się zabójstwa z zamiarem ewentualnym. Jarosław spędzi w więzieniu dwanaście, a Beata dziesięć lat. Wyrok wciąż nie jest satysfakcjonujący dla prokuratora Józwiaka, który dla sprawy Szymona robi wyjątek. Teraz zajmuje się przede wszystkim przestępstwami gospodarczymi.

Jacek Hutyra śledzi sprawę z cywila. Przeszedł na policyjną emeryturę, tak jak obiecywał. Z jego podcieszynskiego domu rozpościera się imponujący widok na Beskidy.

Jacek Marczewski obiecuje sobie, że w końcu pojedzie to zobaczyć. Sprawa „Jasiu” związała Marczewskiego, Hutyre, Józwiaka i kilkunastu najbardziej zaangażowanych w śledztwo funkcjonariuszy nicią niewerbalizowanej wspólnoty doświadczeń.

Chłopcy, którzy zauważyli Szymona na Gułdowach, mogą rozmawiać o wszystkim, tylko nie o tamtym popołudniu. Chcieliby też przestać o nim myśleć. Mimo upływu lat i mimo dorosłości to wciąż trudne.

W małym mieście na północy Polski mieszkają dorośli synowie poprzedniej konkubiny Jarosława. Młodszy, którego podnoszono za uszy, wciąż leczy się psychiatrycznie. Ze względu na próby samobójcze musiał być hospitalizowany w zakładzie zamkniętym. Starszy syn, do którego Jarosław czuł respekt, wykonuje dorywczo prace fizyczne. Nie wiedzą, gdzie dokładnie mieszka matka. Ma nowego męża, podobno nie wylewają za kołnierz.

W domu na myśłowickich Ławkach tatą Beaty opiekują się przyrodni brat Beaty z żoną. Ojciec mieszka na parterze, młodzi na piętrze odremontowanym własnymi rękami. W ogródku przycięta trawa, na podjeździe miejsce na rodzinny samochód.

Na parterze u Mieczysława meble z połyskiem, bieżnik i młodzieńczy portret gospodarza. Tata Beaty odnawia kontakty z marnotrawną córką,

ponieważ nie wierzy, żeby własnymi rękami zamordowała kogokolwiek. W każdym razie za niesubordynację przeprasza, a wcześniej nigdy za nic nie przepraszała. Ojciec jeździ na widzenia.

Mojej rozmowie z Mieczysławem przysłuchuje się żona syna zastępczego i ich mały synek, który ze śmiechem pokazuje, że umie chodzić. Chwieje się podczas półtorametrowej trasy od kanapy do meblościanki. Wspina się na kolana dziadka i nie jest z nich spędzany.

– Wyczekany i dopieszczony – podkreśla Mieczysław.

Ma dwadzieścia trzy miesiące. Tego wieku dożył kuzyn Szymon.

Syn zastępczy, który wraca właśnie z pracy, żeby zawieźć tatę do lekarza, wysyła esemesa, że nie chce się już dzielić sprawami z przeszłości. Byli zaszczuwani przez media zewsząd. Dla rodziny to był szok, którego nigdy nie zapomni. Zgadza się jednak na rozmowę przy furtce, kiedy okazuje się, że nie ma przy niej kamery. Nie może wybaczyć siostrze, że nie przyszła na pogrzeb matki. Bez matki byłaby nikim.

Dlatego nie pójdzie na żadne widzenie.

Kościół parafialny stoi sto metrów od domu i w niczym nie przypomina prowizorki sprzed dwunastu lat. Ogród, ścieżki gęsto obrosnięte zimozielonym, elegancki parking. Proboszcz zaprasza do prywatnego pokoju. Zna sprawę, tu ludzie żyją blisko. Opowiada:

– Ojciec Beaty pójdzie wprost do nieba, takiej jest dobroci i tyle przeżył. I ta dobroć jednak promieniuje.

Jeden syn zastępczy ma zawód, drugi, adoptowany, też się nieco uspokoił, zmądrzał (dopomógł wypadek na motorze). Będzie się żenił.

Gorzej z synami Beaty. Nie chcą znać matki. Mieli dziesięć i jedenaście lat, jak ich zostawiła, nie zdążyli się nacieszyć i zaznać opieki.

Proboszcz z Ławek, który wie wszystko, nie wie jednak, gdzie teraz przebywają chłopcy. Od wyjścia z domu dziecka trudno im znaleźć sobie miejsce. Podobno mają dziewczyny, jeżdżą za granicę, trochę wracają. W każdym razie sąd w Katowicach nie jest w stanie skutecznie doręczyć im wezwań na rozprawę matki.

Proboszcz nie uważa, żeby dziadek miał się tym przejmować. W domu dziecka nie nauczyli się porządnie pracować, żyć jak ludzie. Więc wracają jak bumerangi, siedzą dziadkowi na głowie, chociaż piętro do nich nie należy.

Marzena, średnia córka Beaty – ciągnie proboszcz – wyszła za mąż, Agata będzie mieszkała z córką u dziadka, bo z mężem, choć ma on wielki dom po sąsiedzku, chwilowo nie po drodze. Córki odwiedzają Beatę na zmianę.

To pierwszy raz, kiedy mają Beatę wyłącznie dla siebie, więc starają się wierzyć w jej niewinność. Zmienił się układ sił: teraz to od ich nastroju zależy, czy zobaczą matkę, czy nie.

Wiesiek, pierwszy mąż Beaty, ojciec najstarszej piątki, podchodzi do furtki niemal trzeźwy. Mieszka, jak mieszkał: u swojej matki. Porozmawia na podwórzu. Pracuje, kilka lat temu miał wypadek na budowie. Kolegę zasypało na śmierć, ale jemu udało się wyczołgać spod piasku. Że to nie były żarty, świadczą obrażenia, których doznał. Obraca się nagle tyłem, pochyla do przodu i szybko ściąga krótkie spodenki. Blizna zaczyna się na wysokości nerki, a kończy w połowie lewego pośladka.

Mówi, że ma trudne życie.

Eugenia, mama Jarka, nie wyniosła się z Syberki. Nie otwiera drzwi nikomu, tak jak miesiącami nie otwierał jej syn Jarosław. Otwierają za to sąsiadki. Chętnie opowiadają, że musiała wiedzieć. Jak mogła nie wiedzieć? A uważały ją za porządną osobę.

Od wielu miesięcy nie widziała swoich wnuczek. Czekają na adopcję. Sąd uznał, że będzie lepiej, jeśli nie będą utrzymywać kontaktów ani z babcią, ani z kryminalistami.

Dzwonię do mamy Jarosława. Kiedy odbiera telefon, mówi bardzo spokojnie:

– Nie było żadnego Szymona. Nie było takiego dziecka.

Na koniec

Co roku ofiarą przemocy i zaniedbań ze strony opiekunów pada prawie piętnaście tysięcy dzieci. Kilkadziesiąt z nich traci życie.

Co najmniej od dekady organizacje pozarządowe, na przykład Niebieska Linia, a nawet niektórzy ministrowie zajmujący się sprawami społecznymi mówią o konieczności wprowadzenia systemu monitorowania losów dziecka. W specjalnej bazie danych znajdowałyby się informacje o problemach zdrowotnych, prawnych, edukacyjnych i materialnych. Pomysłodawcy uważają, że kompleksowa wiedza ułatwiłaby pomoc dzieciom, których życie i zdrowie są zagrożone, przede wszystkim przemocą ze strony opiekunów. Zlikwidowałaby też problem dzieci „znikających z systemu pomocy”. Pomysłodawcy mają na myśli sytuacje, kiedy przychodnie zdrowia, szkoły, MOPS-y tracą kontakt z zagrożonym przemocą dzieckiem, bo opiekunowie zmieniają miejsce zamieszkania. Z doświadczenia Renaty Durdy, ekspertki Niebieskiej Linii, wynika, że te sytuacje zdarzają się bardzo często. Dzieci znikają z „systemu” i pojawiają się w nim ponownie dopiero w dorosłości, gdy wejdą w konflikt z prawem – ponieważ tak radzą sobie z przeżyтыми krzywdami. Wtedy jednak „system” nie jest już nastawiony na pomoc, tylko na odizolowanie człowieka.

Pomysł został odrzucony przez ustawodawcę ze względu na konieczność ochrony prywatności rodziny.

Z inicjatywy między innymi Rzecznika Praw Dziecka wszedł w życie projekt przywracający obowiązek prowadzenia książeczek zdrowia dla każdego noworodka.

Podziękowania

Z oczywistych powodów zmieniłam imiona niektórych osób związanych z tą historią. Nie jest również prawdziwe nazwisko śledczego Marczewskiego – jego praca wymaga anonimowości.

Chcę podziękować niewymienionym tutaj policjantom z Cieszyna i całej grupie ze śląskiej komendy zaangażowanej w śledztwo. Wszystkim, którzy próbowali zidentyfikować bezimiennego chłopca. W 2010 roku nie było w Polsce funkcjonariusza, który nie znałby tej sprawy. Wiem, że dołożyli wszelkich starań, żeby poznać jego imię.

Ponadto dziękuję:

Karolinie Jakoweńko, założycielce będzińskiej fundacji Brama Cukermana, i reporterce Ani Malinowskiej, które opowiadały mi o tym mieście.

Edycie Gietce z „Polityki”, która w maju 2010 roku napisała artykuł *Był sobie chłopczyk*, a teraz pozwoliła wykorzystać tytuł artykułu. Nie potrafiłam wymyślić lepszego.

Magdzie Wdowicz-Wierzbowskiej, świetnej fotografce, która towarzyszyła mi podczas pracy. Efekty jej zaangażowania widzicie Państwo w tej książce.

Napisałam ją dla Szymona R., który był. I dla innych.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl
malgorzata.wietecha@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2017
Wydanie I